MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 51 WARSZAWA, 13 GRUDNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

SPRAWA RUSKA NA ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ

IV. „UMOWY W POLITYCE NIE OBOWIĄZUJĄ"

Flirt Austrii z Rosją nie trwał długo. Nadeszła w r. 1854 wojna Krymska i Austria musiała się zdecydować po czyjej stanie stronie. Stanęła po stronie Koalicji Zachodniej i przyjaźń z carem prysnęła. Ale jeszcze długo utrzymywała się ścisła przyjaźń pomiędzy Wiedniem a świętojurcami, bo jej podstawą był sojusz przeciwko Polakom i Polsce.

Pierwsze wybory do sejmu galicyjskiego odbyły się w roku 1865 na podstawie statutu krajowego, wydanego przez wroga Polaków Schmerlinga. Przy wyborach kandydaci świętojurscy, księża i chłopi, byli popierani wszelkimi środkami, legalnymi i nielegalnymi i dostali się w znacznej liczbie do sejmu, ale tylko z kurii wilejskiej. Rząd austriacki starał się wmówić w mieszczaństwo Lwowa i Krakowa, że w w miastach tych mieszkają trzy narodowości, Polacy, Żydzi i Rusini a w Krakowie Niemcy i wszystkie powinny mieć swoich przedstawicieli, ale mieszczanie polscy nie przyjęli tej argumentacji. (Podobne hasło podniesiono także w Polsce przed kilku laty przy wyborach samorządowych z naszej ziemi). Wśród wybranych posłów ruskich znalazł się między innymi Joachim Chomiński który w r. 1846 prowadził lud do rzezi na dwory i za to został dyrektorem policji we Lwowie. Wicemarszałkiem sejmu został mianowany ks. Litwinowicz, biskup sufragan metropolii Lwowskiej grecko-katolickiej. Pierwsze posiedzenie sejmowe było zainaugurowane ze strony polskiej i ruskiej (ks. Witwicki) uroczystymi przemowami nawołującemi do zgody i braterstwa, wnet jednak w dalszym ciągu posiedzenia odezwały się ostre zgrzyty, domagające się oddania chłopom lasów i pastwisk (*lisy i pasowyska*). Odbyły się wybory 38 delegatów sejmu do rady państwa w Wiedniu. Polacy jednomyślnie głosowali na 12 kandydatów Rusinów, jakich im wskazał biskup Litwinowicz, zastrzegli jednak, aby wszyscy delegaci, polscy i ruscy, stanowili w Radzie Państwa jednolitą reprezentację kraju, nie wytaczali sporów narodowościowych i razem walczyli o autonomię kraju. Biskup Litwinowicz przyjął to zastrzeżenie, zażądał jednak, aby Polacy z powodu świąt ruskich wielkanocnych nie jechali do Wiednia na otwarcie Rady Państwa i dopiero po świętach wyjechali razem z delegatami ruskimi. Zgodzili się na to Polacy, wstrzymali się z wyjazdem do Wiednia, ale gdy po świętach ruskich przyjechali do Wiednia, zastali tam już delegatów ruskich z biskupem Litwinowiczem na czele, którzy przybyli byli na dzień otwarcia Rady Państwa i zasiedli na ławach centralistów niemieckich. Na czynione mu zarzuty odpowiedział biskup Litwinowicz, że „umowy w polityce nie obowiązują". Ksiądz greckokatolicki Witwicki, który w dniu otwarcia sejmu galicyjskiego przemówił był serdecznie na temat zgody i miłości braterskiej polsko-ruskiej, musiał z rozkazu swoich władz kościelnych złożyć mandat sejmowy zaraz po posiedzeniu sejmu.

W takiej atmosferze politycznej płynęło życie polityczne polsko-ruskie pod zaborem austriackim. Wodzowie świętojurscy trwali przy haśle podziału kraju na części polską i ruską, u dołu zaś zaczął przemawiać lud ruski głośnym pomrukiem o lasy i pastwiska, o ziemię polską. Były to narodziny nowej organizacji ruskiej, radykalnej, chłopskiej, która stopniowo zaczęła brać górę nad wpływami świętojurców i z którymi szlachta polska tymbardziej liczyć się musiała, że po wsiach mnożyły się zaburzenia agrarne. Świętojurscy odsłonili już w r. 1866 w czasie klęski Austrii w wojnie z Prusami swe prawdziwe oblicze jako „Tyrolczycy wschodu", zwracając się jawnie ku Rosji, ostatecznie zaś wyszło na jaw bankructwo polityczne w r. 1882 w procesie kryminalnym Olgi Hrabar i hofrata Dobriawskiego o szpiegostwo i zdradę stanu: ale o wiele groźniejszym dla Polaków okazał się ów

młody ruch radykalny, przybierający cechę ruchu narodowego, przyjmujący jednak w stosunku do Polaków wszystkie nienawistne hasła i praktyki świętojurców. Nowy ruch opanował znaczną część młodzieży ruskiej, objawił się w młodem piśmiennictwie ruskiem, a dopływ Rusinów-Polaków Szaskiewicza, Wagilewicza, Cięglewicza, poety Tymka Padury, Platona Kosteckiego, malał i topniał. Starzy przedstawiciele jedności narodowej, jak Platon Kostecki i inni, rozgoryczeni, przechodzili do obozu wyłącznie polskiego, rzucając gromy żalu i niechęci na „hajdamaków". Wagilewicz przeszedł na protestantyzm i poświęcił się wyłącznie literaturze polskiej, jako współpracownik wydawnictwa Bielawskiego „Monumenta Poloniae Historica". Wybitni mężowie, jak Zygmunt Sawczyński, prezes polskiego towarzystwa pedagogicznego, M. Żyhlikiewicz, prezydent m. Krakowa i później marszałek kraju, Szemelowski, prezydent m. Lwowa, Euzebiusz Czerkawski, profesor filozofii i polityk polski od r. 1848, zajęli w społeczeństwie polskim wpływowe i bardzo poważane stanowiska. Nowy ruch spadł jak grom na szlachtę polską na ziemi czerwieńskiej z przyczyn zarówno materjalnych, jak moralnych, ponieważ szlachta ta budowała była wbrew interesom ludu polskiego po wsiach polsko-ruskich cerkwie grecko-katolickie zamiast kościołów i kazała chłopom polskim mówić językiem ruskim, jako „chłopskim", częścią z próżności stanowej, żądnej wyróżnienia się od chłopa, częścią z głębokiego przekonania o narodowej jedności Polaków i Rusinów. Ze strony więc szlachty pochodził główny atak przeciwko uznaniu Rusinów za odrębny naród, głośny już w pierwszym sejmie krajowym i historycznie uzasadniany przez mówców z Leszkiem hr. Borkowskim na czele.

Tymczasem nastąpił w polityce dynastycznej Habsburgów stanowczy zwrot na rzecz Węgrów i Polaków. Węgrom przyznano autonomię państwową w ramach wspólnej monarchii, Polakom, a właściwie wiernemu stronnictwu krakowskiemu, t. zw. stańczykom, powierzono rządy w kraju po spolszczeniu krajowej administracji, sądownictwa i szkolnictwa. Na Polaków więc spadła też odpowiedzialność za utrzymanie spokoju w kraju i zgody narodowościowej. Gdy w roku 1890 ster rządu krajowego objął energiczny namiestnik Kazimierz Badeni, podjął przy pomocy swego stronnictwa próbę zawarcia ugody z nowym kierunkiem radykalno-narodowym ruskim. W porozumieniu z nim wystąpiło kilku posłów ruskich z sejmowego Klubu Ruskiego i utworzyli klub osobny, ugodowy w stosunku do rządu i do Polaków. Jak zwykle bywa w takich wypadkach, warunki „ugody" owej pozostały tajemnicą, gdyż umowy nie zawierał naród lecz rząd. Nadano jej tylko jakieś pozory ugody narodowej przez uroczystą inscenizację w sejmie na posiedzeniu z końcem listopada 1890, a w przemówieniach naczelnika Badeniego, posła Madejskiego i dwóch przedstawicieli nowego bloku, Romanowicza i Feliszewskiego. Ugoda ta, jak się później okazało, była zwrócona głównie przeciw świętojurcom i miała dla narodowego kierunku wśród Rusinów zasadnicze znaczenie. Uznał w niej bowiem rząd krajowy Rusinów za osobną narodowość, której się należą prawa narodowe zagwarantowane konstytucją z r. 1867, uznał osobną pisownię fonetyczną i zobowiązał się ją ustalić i wprowadzić w szkołach, uznał potrzebę osobnych szkół średnich ruskich i nowych katedr ruskich na uniwersytecie i zabrał się niezwłocznie do wykonania tej ugody. Krajowa rada szkolna rozpoczęła żywą działalność w duchu tej ugody, organizowała szkoły gimnazjalne ruskie (w Kołomyi, Tarnopolu, Przemyślu) i przenosiła do nich młodzież ruską, często wbrew protestom rodziców, a uniwersytet lwowski otrzymał prawdziwy dar Danaów w osobie Michała Hruszewskiego z Kijowa, początkującego pracownika naukowego, nie mającego jeszcze doktoratu i niezbędnych rozpraw naukowych, który wedle własnego uznania „rozpoczął swój zawód literacki od belletrystyki". Hruszewski okazał się namiętnym narodowcem ukraińskim, zapatrzonym w ideę ukraińską całem swem jestestwem, nie uznającym praw polskich na uniwersytecie polskim, pałającym głębszą, zawziętą nienawiścią do Polski i Polaków, do kultury i całej historii polskiej. Takim był ten „autor pokoju" sprowadzony z Kijowa dla utrwalenia zgody polsko-ruskiej, takim był posiew jego dwudziestoletniej pracy na uniwersytecie i poza nim, takie było wychowanie tej młodzieży ruskiej, która dzisiaj w wieku męskim zajmuje wybitne stanowiska w społeczeństwie ruskiem i w Polsce. W czasie wojny światowej ten sam mąż przypomniał się Polsce jako prezydent centralnej rady ukraińskiej, gdy przy pomocy swoich galicyjskich przyjaciół zakupił w Brześciu od Niemców i Austriaków dla Ukrainy polską Chełmszczyznę za zboże ukraińskie, jakiego nie dostarczył i dostarczyć nie mógł.

Po owej sławnej ugodzie z r. 1890 pozostał dla Polaków tylko gryzący swąd i żal, jak po każdej ugodzie tego rodzaju, zawieranej tajemniczo dla wyjścia z chwilowych trudności politycznych. Trzeba było po niej zawierać coraz nowe ugody z innymi mężami politycznymi (Barwińskim, Wachuraninem) z takim samym wynikiem dla Polaków. Pierwotnemu twórcy ugody K. Badeniemu danem było oglądać za życia owoce tych ugód w czasie, gdy jako prezydent ministrów i ulubieniec cesarza potknął się w swej zbyt energicznej polityce i upadł ku radości Niemców i biurokracji wiedeńskiej. Biurokracja ta ustalonym zwyczajem usiłowała użyć Rusinów dla ostatecznego, jak się zdawało, pognębienia Polaków w Austrii. W całym kraju wyrastały zebrania, wiece ruskie z hasłem „Polacy za San", zapadały szumne rezolucje i szły do Wiednia. W prasie austriackiej i pruskiej, w parlamencie austriackim, sejmie pruskim i parlamencie niemieckim głośna była nagonka na Polaków z powodu rzekomego krzywdzenia Rusinów w Galicji, nawet w prasie polskiej zakordonowej znajdywała życzliwe echo. Wziął w tej propagandzie udział także świeżo zamianowany metropolitą grecko-katolickim ks. Andrzej Szeptycki, który w r. 1900 udał się do Wiednia i przedłożył cesarzowi poufny memorjał, żądając cofnięcia stanu prawnego polskiego uniwersytetu lwowskiego do stanu z r. 1871, kiedy to ten uniwersytet był trójjęzycznym: niemiecko-polsko-ruskim. W r. 1902 Rusini przy pomocy polskich socjalistów urządzili na Podolu Galicyjskiem pod pozorem ucisku chłopa ruskiego przez polskich obszarników strajki rolne, aby zmusić właścicieli do parcelacji ziemi pomiędzy Rusinów. Wszystkie te zabiegi i rozruchy chłopskie nie osiągnęły celu politycznego, wykazały jednek że istotnie umowy w polityce nie obowiązują.

Nowe porozumienie zawarło Koło Polskie przy moim udziale z Klubem Ruskim w Wiedniu w r. 1907 przy sposobności uchwalenia reformy wybor-

czej do austriackiego parlamentu. Jako referent tej reformy zawarłem za zgodą Koła Polskiego i parlamentu ugodę z Klubem Ruskim, zapewniając Rusinom 27 do 28 okręgów wyborczych i ułożyłem odpowiednie okręgi z większością ruską. Otrzymałem za to publiczne podziękowanie w parlamencie od reprezentanta Klubu Ruskiego (Wassilki) i zapewnienie, że odtąd stosunki polsko-ruskie ułożą się pomyślnie. Zawiedliśmy się jednak srodze. Pomimo, że namiestnik A. Potocki przeprowadził wybory lojalnie bez jakichkolwiek wpływów na rzecz rządu i Polaków, pomimo, że Rusini otrzymali swój udział (27 mandatów) w całości, gdy się w jednym okręgu (trembowelskim) nadarzyła sposobność utrącenia kandydata polskiego przy wyborze ściślejszym na rzecz sjonisty, sprowadzonego z Pragi (Mahlera), Rusini rzucili swe głosy na rzecz żyda i pozbawili Polaka mandatu.

Po zamordowaniu namiestnika A. Potockiego przez Rusina Siczyńskiego w r. 1908 za to, że przy wyborach do sejmu nie utrącił kandydatury starorusina, zbliżyli się przedstawiciele Rusinów znowu do mnie, w sprawie owego mordercy. Oto na liczne zabiegi o ułaskawienie oświadczył cesarz Franciszek Józef, że bez mojej zgody, jako prezesa Koła Polskiego, nie może Siczyńskiego ułaskawić, aby nie oburzyć na siebie narodu polskiego. Rozpoczęły się więc instancje do mnie ze strony niektórych posłów polskich (L. Bilińskiego) prezesa rządu, a także przedstawicieli Rusinów o zgodę na ułaskawienie. Prezes Klubu Ruskiego Kość Lewicki przedstawiał mi, że śmierć Siczyńskiego stanie się nieprzepartą ścianą dla zgody polsko-ruskiej, a jego ułaskawienie otworzy jak najpomyślniejsze widoki dla zgody narodowej. Ostatecznie zdecydowałem się oświadczyć cesarzowi, że powierzam decyzję jego własnemu sumieniu, gdyż mnie prawo łaski nie przysługuje. To wystarczyło Siczyński został ułaskawiony, osadzony w więzieniu, z którego pomożono mu uciec, wyjechał do Ameryki, gdzie jako bohater narodowy rozpętał szaloną propagandę przeciw Polakom.

Ostatnie zbliżenie polityczne pomiędzy Polakami i Rusinami w b. Galicji nastąpiło przy moim udziale w sejmie galicyjskim w styczniu r. 1914 przy uchwalaniu reformy wyborczej do sejmu. Po kilkuletnim sporze w tej sprawie, urozmaiconym obstrukcyjną muzyką w sejmie, zapadła w komisji dla reformy wyborczej pod moim przewodnictwem i wedle moich wniosków uchwała, zapewniająca Rusinom we wszystkich kurjach wyborczych odpowiednią liczbę mandatów przy częściowem zastosowaniu katastru narodowego. Prezes Klubu Ruskiego K. Lewicki złożył mi za moją pracę i życzliwe stanowisko publiczne podziękowanie w Komisji i dołączył nadzieję, że od tego czasu stosunki polsko-ruskie mają otwarte pole do pełnego porozumienia. Jak to otwarte pole wyglądało, o tem przekonaliśmy się zaraz po wybuchu wojny światowej. Oto wszystkie stronnictwa ruskie, odtąd już „ukraińskie", uderzyły z całą zawziętością na Polaków, w pierwszym zaś rzędzie na moje stronnictwo jako na „zdrajców Austrii", zasypali prasę i czytelnictwo stekiem broszur paszkwilowych i dzieł pseudo-naukowych, zwróconych przedewszystkiem przeciwko Polakom i ich nadziejom związanym z wojną. Na własny program narodowy zdobyć się nie umieli: ich programem było, tak samo jak w r. 1848, osiągnięcie podziału Galicji i uzyskanie większości w Galicji Wschodniej. Z tego powodu protestowali także przeciwko projektom wyodrębnienienia Galicji, a jeden z ich przywódców głośno w parlamencie zawołał: *„Ne buło Polszczi, ne buło, a teperka majut buty aż dwi Polszczi"*. W tym okrzyku przebija się cała ich negatywna polityka, którą już przed laty. Fischhof tak trafnie określił. Idea „Zachodniej Ukrainy" zjawiła się dopiero z upadkiem Austrii. Jeszcze w r. 1917 w traktacie brzeskim Ukraińcy galicyjscy (Wassilko) otrzymali w osobnej tajnej rozmowie tylko obietnicę utworzenia w Austrii osobnego kraju koronnego z Galicji Wschodniej.

Gdy rozeszły się wieści o tem, że Petlura w układzie z J. Piłsudskim zrezygnował raz na zawsze z roszczeń do Ziemi Czerwieńskiej i z zachodniego Wołynia, dochodziły mnie głosy ludzi rzekomo dobrze poinformowanych, że Petlura sam zapowiedział, iż umowy polityczne wiecznie nie obowiązują. Istotnie po zakończeniu wojny z sowiecką Rosją i Ukrainą Ukraińcy galicyjscy zajmowali dalej negatywne stanowisko w stosunku do Polski. Rząd Wład. Sikorskiego przedłożył w r. 1922 sejmowi projekt ustawy o samorządzie wojewódzkim dla trzech województw południowo-wschodnich, w którym Rusini otrzymali także przyrzeczenie, że uniwersytet ruski będzie w odpowiedniej miejscowości założony i że państwo nie będzie samo (własnym kosztem) przeprowadzać na tej ziemi kolonizacji. Komisja sejmowa konstytucyjna, której przewodniczyłem, zgodziła się zasadniczo na ten projekt pod dwoma warunkami: najpierw, że ustrój Polski nie może być odrębny na Ziemi Czerwieńskiej i dlatego ustawa o samorządzie wojewódzkim musi być rozciągnięta na całe państwo; powtóre, że wszelkie koncesje dla Rusinów są dopuszczalne tylko o tyle, o ile Rusini szczerze i bez żadnych zastrzeżeń staną na gruncie Rzeczypospolitej Polskiej, jako jej wierni współobywatele. Wkrótce po uchwaleniu tej ustawy (we wrześniu r. 1922), a także po zatwierdzeniu granic Polski w marcu r. 1923, okazało się, że Rusini traktują tę ustawę jako rodzaj koncesji dla siebie, która ich do niczego nie obowiązuje. Oto, gdy w r. 1923 jako polski minister wyznań i oświaty rozpocząłem pertraktacje z ministrem spraw wojskowych w sprawie odstąpienia budynków wojskowych na Pradze dla celów uniwersytetu ruskiego i gdy traktowałem z jednym z profesorów ruskich z Pragi Czeskiej w tej samej sprawie, dowiedziałem się, że ruska młodzież chce traktować z rządem polskim jako strona wojująca, że nigdy nie zgodzi się na uniwersytet gdzie indziej, tylko we Lwowie, że swoich profesorów zbojkotuje i t. p. Oczywiście cała sprawa upadła. *Beneficia non obtruduntur*. Byłoby dobrze, gdyby o tem w Warszawie pamiętano. Dziwię się, że także politycy ukraińscy, którzy w sejmie i w senacie później odczytywali swe separatystyczne deklaracje i że prasa ukraińska tego samego kierunku powołują się czasami na ową zbojkotowaną przez siebie ustawę z r. 1922, jako rzekomy dowód niespełnionych przez Polskę obietnic.

O tej psychice Rusinów — Ukraińców pamiętać powinni wszyscy, którzy z ich politykami rozmawiają w sprawach ruskich, a pamiętać muszą szczególnie ludzie odpowiedzialni ze sfer rządowych. Biorąc udział w takich rozmowach stają owi politycy na stanowisku międzynarodowem, jak gdyby chodziło o chwilowe zawieszenie broni pomiędzy wojującymi z sobą mocarstwami. Tymczasem gra-

nice wschodnie Ziemi Czerwieńskiej i całej Polski są czterokrotnie ustalone. Najpierw przez odparcie najazdu ukraińskiego z r. 1918 krwią bohaterów lwowskich i wojska polskiego. Powtóre układem z Petlurą i traktatem ryskim z r. 1921. Potrzecie uznaniem Rady Ambasadorów z marca r. 1923. Po czwarte dobrowolnym plebiscytem ludności: Wszak znany ukrainofil Leon Wasilewski sam stwierdza w swem sprawozdaniu jako przewodniczący komisji dla wytyczenia granicy pomiędzy Polską a Rosją i Ukrainą, że na całej tej przestrzeni ludność miejscowa wotowała wszędzie za Polską, a przeciw Rosji i Ukrainie, ilekroć zachodziła wątpliwość, czy pewna gmiana lub przysiółek ma być wcielony do Polski lub nie. W tej woli ludności leży argument silniejszy od wszelkich wywodów i pożądań polityków, którzy pragnęliby wiecznie jątrzyć stosunki polityczne na naszej ziemi aż do nadejścia pomyślniejszej dla siebie „konjunktury". Jednym ze środków tego jątrzenia i pobudzania ducha swoich zwolenników jest właśnie owa postawa wojownicza, zawieranie „umów" i wytaczanie następnie głośnych skarg na ich niedotrzymanie.

STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

GOSPODARCZA RÓWNOWAGA WEWNĘTRZNA

ZAGADNIENIE równowagi między przedsiębiorstwami przemysłowemi różnego typu przedstawia się inaczej, aniżeli zagadnienie równowagi w gospodarstwach rolnych. W rolnictwie dominującym typem stają się średnie i małe gospodarstwa. Wbrew socjalistycznej teorii, koncentracja produkcji w rolnictwie nie nastąpiła. A tymczasem uważało się za aksjomat, że technika produkcyjna w przemyśle daje bezsporną przewagę przemysłowi fabrycznemu; że rzemiosło skazane jest, jeżeli nie na śmierć, to w każdym razie na wegetację. Na podstawie późniejszych doświadczeń patrzymy spokojniej na tę ewolucję. Większe zastosowanie energii elektrycznej otwiera nowe możliwości przed średnią i małą produkcją przemysłową. Rzemiosło w wielu krajach okazało dużą odporność. Sprawa rozwoju średniego i drobnego przemysłu nabiera nowej aktualności.

Niewątpliwie w gospodarstwie rozstrzygają koszty produkcji, a produkcja *en masse*, posługująca się maszynami, jest bezwarunkowo tańsza. Istnieją dziedziny w których nie można myśleć o zastąpieniu wielkiego przemysłu mniejszemi przedsiębiorstwami: rzemiosło nie wyprodukuje lokomotywy, wielkiej maszyny, papieru, cementu, nie wydobędzie minerału z głębi ziemi. Ale równocześnie ze wzrostem wielkich gałęzi przemysłu fabrycznego, gdy podnoszą się potrzeby ludności, gdy wzrasta zamożność, otwierają się nowe możliwości przed średnią i drobną wytwórczością przemysłową. Najwięcej warsztatów rzemieślniczych jest u nas w tych województwach, gdzie najwięcej jest wielkiego przemysłu, a najmniej na kresach wschodnich, gdzie tego przemysłu nie ma.

Wielki przemysł jest koniecznością, choćby ze względu na podkreśloną poprzednio obronę kraju. Mogą być jednak różne typy tego wielkiego przemysłu. Zdrowym jest przemysł osiadły, gospodarzący jawnie, kiedy jednostka kierownicza, czy grupa tych jednostek, nietylko swój kapitał, lecz i całą życiową ambicję wiąże z swym warsztatem. Łatwiej robotnik porozumie się z żywym przedsiębiorcą, którego w dzień widzi przy pracy, aniżeli z przedstawicielami wielogłowego kapitału finansowego. Nadmierna koncentracja własności w przemyśle, która przez zależność kredytową doprowadza do powstania różnych koncernów, nie związanych wewnętrznym podziałem pracy, jest zarazem i bardzo chwiejna, jak tego dowiodły głośne krachy, i niebezpieczna z punktu widzenia narodowego.

Ekonomiści mają skłonność do pojmowania kapitału jako czegoś abstrakcyjnego, płynnego, co przenosi się od jednych zastosowań do innych, wciąż się przeobraża, w poszukiwaniu jak największego zysku. Może to być dla tereotyka ekonomicznego interesujące pojęcie; w praktycznem gospodarstwie narodowem lepiej jest jak najmniej mieć takiego kapitału, który kierując się względami spekulacyjnemi, przerzuca się od jednego przedsiębiorstwa do drugiego, wyzyskując konjunkturę, wykupując warsztaty, stworzone wielkim trudem całego życia jednostki, Z punktu widzenia narodowego musimy dać przewagę kapitałowi przemysowemu nad kapitałem finansowym.

Nie można dalej przeciwstawiać bezwzględnie fabryki mniejszemu warsztatowi przemysłowemu. Znamy liczne przykłady, że fabryka rozwija się, powstaje stopniowo z mniejszego zakładu, dzięki indywidualności i pracy jego kierownika. Nie podobna w sposób sztuczny powstrzymywać tej ewolucji, gdyż wydobywa ona na powierzchnię duże wartości, pomnażające kulturę gospodarczą narodu. Bez pionierów przemysłu, bez ludzi, którzy powołali do życia nowe jego gałęzie, albo stworzyli przemysł ten, gdzie go przedtem nie było, gospodarstwo wielu krajów przedstawiałoby się bardzo ubogo. A my tę działalność pionierską mamy jeszcze przed sobą a nie za sobą.

Skupienie wielkiego kapitału w nielicznych stosunkowo rękach ma oczywiście swoje ujemne strony. Łagodzi jednocześnie ustawodastwo, z jednej strony przez progresyjne odciążenie dochodu, z drugiej politykę społeczną, prowadzoną w interesie ludności robotniczej, zatrudnionej przez wielkie przedsiębiorstwa. Trudno zasadniczo kwestjonować potrzebę takiego ustawodawstwa. Ale musi ono być naprawdę przeprowadzone, nie może zostawiać otwartego pola do wybiegów, dzięki którym różne anonimowe przedsiębiorstwa, głównie żydowskie, wymykają się z pod tych ciężarów i nielojalnie współzawodniczą z przemysłem, przestrzegającym przepisów prawnych. Niechaj tych rożnych przepisów będzie mniej, ale niech w praktyce wszystkich obowiązują.

Niezależnie od tego polityka gospodarcza ma obowiązek zwrócić szczególną uwagę na przemysł średni i drobny. Ludzie, którzy w tym przemyśle pracują, łączą w swych rękach kapitał i pracę; silny rozwój tej warstwy łagodzi przeciwieństwa społeczne, co ma chyba znaczenie także i dla prawidłowego rozwoju gospodarstwa narodowego. Oczywiście gdyby ten typ produkcji nie miał racji gospodarczej, na nic niezdałby się wszelki protekcjonizm. Jednakże można ułatwić wydobycie się na powierzchnię żywotnych sił, wyzyskać realne możliwości rozwoju tej warstwy. Duże znaczenie ma przedewszyskim zawodowe przygotowanie. Rzemiosło i drobny przemysł bardzo często służyły jako ucieczka dla tych, przed którymi zamykały się lepsze ich zdaniem możliwości życiowe. Fałszywy pogląd na wartość pracy sprawiał, że z tej produkcji uciekały zdolniejsze jednostki i pchały się gwałtem do tak zw. inteligencji. Jej nadmiar, być może powstrzyma ten proces; chyba już syn rzemieślnika nie będzie się wstydził pracować w zawodzie ojca.

Technika i w tej dziedzinie nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Większe zastosowanie energii elektrycznej jak wiadomo ułatwia życie małym warsztatom. Także i w mniejszej produkcji może znaleść zastosowanie maszyna, nie tylko narzędzie. A pozatem ogromne znaczenie ma uruchomienie specjalnego typu kredytu dla średniej i drobnej produkcji przemysłowej.

Szczególną uwagę trzeba też zwrócić na przemysł domowy, względnie na chałupnictwo. To ostatnie jest terenem wielkiego wyzysku pracownika, jeżeli się wkroczy w tę dziedzinę ze skromnymi choćby kapitałami, jeżeli chałupnik będzie mógł otrzymywać na kredyt surowiec względnie maszyny już nie od żyda pośrednika, zmieni się jego położenie. A zaś przemysł domowy może mieć wielkie zastosowanie na wsi, ze względu na to, że wielka część drobnych gospodarstw rolnych nie absorbuje wszystkich sił roboczych rodziny chłopskiej.

Przejdźmy wreszcie do zagadnienia równowagi gospodarczej w dziedzinie handlu. Nie uważamy handlu za funkcję, której nie zalicza się już do wytwórczości, ani też za pewne *malum necessarium* w takiej organizacji: handel był nieraz i może być nadal ogniskiem gospodarczego postępu. Ale jeżeli przewodnią zasadą wytwórczości jest dążenie do jak najniższych kosztów produkcji, to w takim razie jest koniecznem dążyć także i do tego, by pośrednictwo, które doprowadza towar z fabryki czy gospodarstwa rolnego do ostatecznego odbiorcy było jak najtańsze; by nie tworzyły się zbędne ogniwa wymienne, różne zatory, które wywołują nadmierną rozpiętość między cenami hurtowemi a kosztami utrzymania.

Jeżeli porównamy wartość naszej produkcji z ilością osób, zajętych w handlu i zrobimy analogiczne zestawienie dla krajów, wyżej gospodarczo rozwiniętych, okaże się, że u nas istnieje pewien przerost funkcyj handlowych. Nie bez znaczenia jest specyficzna narodowa struktura handlu. Zajmiemy się nią jeszcze na odpowiedniem miejscu. Ale to zagadnienie nie jest proste. Handel jest niejako ucieczką dla tych wszystkich, którzy w innych działach produkcji nie znajdują dla siebie miejsca. Bezrobocie powiększa ilość kandydatów na kupców różnego autoramentu, stosunki w handlu można porządkować w różny sposób. Mechaniczne ograniczenie ilości osób, trudniących się handlem, w naszych warunkach demograficznych nie doprowadzi do niczego. Ale w każdym razie należy dążyć do tego, by wzrost zatrudnienia wyrażał się głównie we wzroście i ilości pracy rolniczej, górniczej i przemysłowej, i by handel mając wtedy większe obroty, mógł przy mniejszym zarobku na jednostce towaru spełnić swoje funkcje.

W handlu towarowym nie ma tendencyj do nadmiernej koncentracji: Handel jest ostoją warstwy średniej. Wielkie domy towarowe nie grają większej roli. Wspominaliśmy już przy innej sposobności o tem, że ustawodawstwo może przeciwdziałać ich rozrostowi. Współzawodnictwo nie toczy się między przedsiębiorstwami różnej wielkości, lecz raczej pomiędzy handlem indywidualnym a spółdzielczym.

Zwolennicy uspołecznienia handlu widzą w spółdzielczości najdogodniejsze narzędzie które wiedzie do tego celu. Handel indywidualny ma być wyrugowany, spółdzielnie spożywcze stworzą swój aparat produkcyjny, i w ten sposób nadejdzie nowy ustrój, w którym zniknie dążenie do prywatnego zysku. Ta doktryna jest nawskoś utopijna. Spółdzielczość, w pewnych przypadkach bardzo cenna forma organizacji handlu, ma ograniczony zakres działania. Niechaj współzawodniczy z handlem indywidualnym, ale na warunkach równości. Specjalne przywileje, przyznawane przez państwo spółdzielczości, wykoszlawiają naturalny jej rozwój. Spółdzielczość może znaleść specjalne zastosowanie w rolnictwie, nie pomijamy też spółdzielczości kredytowej, jak również i kupieckich hurtowni spółdzielczych. W gospodarstwie narodowem nie chcemy widzieć w spółdzielczości wroga indywidualnego handlu, lecz jego uzupełnienie. Jeżeli ta spółdzielczość staje się szkołą drobnego kupiectwa, jest to objawem normalnym i dodatnim. Błędnem jest ustawodawstwo spółdzielcze, które chce realizować doktrynalne zasady, eliminując pierwiastek osobistego interesu spółdzielców i w ten sposób ogranicza pole zastosowania tej formy życia gospodarczego.

Prawidłowa równowaga między różnemi gałęziami produkcji, a w ich granicach między różnymi typami gospodarstw, jest najważniejszym czynnikiem łagodzenia przeciwieństw innych. Równowaga gospodarcza jest najlepszą podstawą społecznej równowagi w narodzie. Ale niezależnie od tego państwo musi nieraz bezpośrednio wkraczać, by łagodzić różne przeciwieństwa, opiekując się warstwami słabszemi ekonomicznie. Zadanie to należy do polityki społecznej.

ROMAN RYBARSKI

Wobec nadchodzącego Nowego Roku wydawnictwo *MYŚLI NARODOWEJ* uprasza Szan. czytelników i przyjaciół pisma o odnowienie zawczasu przedpłaty na rok 1937, aby można było należycie unormować wysokość szybko zwiększającego się nakładu bez uszczerbku dla odbiorców dawniejszych. Warunki przedpłaty podane są na końcu zeszytu. Konto *MYŚLI NARODOWEJ* w P. K. O. nr. 3.105.

NASZ SPADKOBIERCA

Rok temu (mniej-więcej) w Niemczech, na żałobnej uroczystości, którą z powodu zgonu siostry Fryderyka Nietzschego obchodzono, kanclerz Hitler w mowie swojej oświadczył, że naród niemiecki uważa siebie za spadkobiercę duchowej spuścizny autora „Zaratustry". Nie wiem, jak Niemcy oświadczenie to przyjęli—zapewne poważnie i chętnie, bo oskoma tego narodu wielostronna jest i niewyczerpana. Kto jednak zna Nietzschego i Niemców, ten nie mógł przyjąć słów tych bez ironicznego uśmiechu.

Pomiędzy Nietzschem a narodem niemieckim istnieje tyle zasadniczych przeciwieństw, że tylko długowieczną, pokoleniami wzmaganą i przekazywaną różnicą narodową wytłumaczyć je można. I w istocie, wiadamo, że Nietzsche pochodził z Nieckich — polskiej rodziny szlacheckiej, co sam z odcieniem dumy przyznawał. W wyglądzie zewnętrznym był tak dalece rasowo polski, że w jego podróżach wszędzie go za Polaka poczytywano. W pismach jego sposób myślenia, odczuwania, obrazowania, styl, charakter i temperament są zgruntu polskie.

Sprawa jeszcze dziwniejszego posmaku nabiera, gdy rozważymy uczuciowy i rozumowy stosunek Nietzschego do narodu niemieckiego. Nie ma na świecie myśliciela i artysty, od którego Niemcy nasłuchali by się o sobie tylu i tak trafnych drwin, docinków i głębokich a ujemnych sądów krytycznych, obejmujących razem całe duchowe życie tego narodu. Rzeczą jest mało prawdopodobną, żeby na pogląd tak względem narodu swego przeciwstawny zdobył się Niemiec rodowity. Mógł to uczynić tylko człowiek, na którego duchowość złożyły się wieki środowiska obcego i zgruntu odmiennego.

Tak obcesowe i manifestacyjne ogłoszenie swojego po Nietzschem spadkobierstwa powstało niewątpliwie pod naciskiem przyrodzonego Niemcom zwyczaju zaprzęgania wszelkich idej—religijnych, filozoficznych, naukowych—do wozu swoich celów politycznych. W czynności tej, jak wiadomo, Niemcy posuwają się aż do fałszowania faktów, a naginanie idej uprawiają z całym nakładem świadomości swojej i pedanterii. W wypadku z Nietzschem stało się to tembardziej konieczne, że niewspółmierność dziedzica ze spadkiem jest dla każdego rażąca.

Zpośród myśli, aforystycznie przez Nietzschego sformułowanych, uwagę Niemców zwróciły te mianowicie, które, po odpowiedniej przeróbce w ich kierunku, najlepiej do zaborczości politycznej się nadają. Należą do nich: idea o „moralności panów i niewolników", aforyzm „twórcy są twardzi", symbol „bestii płowej", oraz inne do tych podobne. Do ich towarzystwa, jak się zdaje, przewódcy Niemiec współczesnych nie wahają się dołączać idei o nadczłowieku, rozwiniętej w szczytowem dziele Nietzschego „Tak mówił Zaratustra".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszystkie tu wymienione oraz tym podobne ideje twórca ich stosował do pewnych typów człowieka bez względu na przynależność narodową. Mimo to w wykładni ich Niemcy naogół wprowadzają taką atmosferę, jakby tu mowa była tylko o narodzie niemieckim. Myśl o moralności panów i niewolników tak się przeto wykłada, że Niemcy są jedynym na ziemi narodem panów, a skoro twórcy są twardzi, to Niemców, jako jedyny naród twórczy obarcza wyjątkowy obowiązek twardości, oraz wszelkie przywileje „bestii płowej", nie wyłączając tych, które do nadczłowieczeństwa prowadzą.

Wiadomo, jak to wszystko w niemieckiej wygląda rzeczywistości! Ma to być usprawiedliwieniem, co więcej! — uświęceniem megalomanii, zachłanności, brutalności i niszczycielstwa Niemców, dobrze całemu światu od tej właśnie strony znanych. Jakkolwiek całkiem różnej rasy, Niemcy z wielu cech duchowych bardzo podobni są do żydów. I tamci i ci — patologiczni megalomani („naród wybrany" i „naród panów") jednakowo prawdę umieją fałszować, dla zwyciężonych jednako są brutalni, a dla uświęcenia występków swoich najwyższe podrabiają autorytety (tam—Jehowa i religia, tu—Wotan i filozofia). Oba te narody wielkie dla świata stanowią niebezpieczeństwo: zwycięstwo żydów zniszczyłoby wszystko, co nie jest żydowskie, zwycięstwo Niemców zniszczyło by wszystko, co nie jest niemieckie.

Najnowszym Niemców autorytetem stał się odpowiednio nadrobiony duchowy dorobek Nietzschego, co samo przez się domaga się zestawienia z postępowaniem ich względem Polaków. Stosowana do Polaków brutalna orgia wywłaszczeń, wynarodowień, podstępów, gwałtów, oszustw i fałszów powołuje się na ducha o najwyższej na świecie szlachetności, dostojności i wytworności, nadomiar—na ducha, którego właśnie z najlepszego rdzenia swojego naród polski wyłonił, na ducha, który znał wysoką pochodzenia swego wartość i szczycił się świeżą rodu swojego polskością!..

Nie jest to dla nas, Polaków rzecz o Niemcach nowa. „Spadkobierca duchowej spuścizny Nietzchego" w każdej chwili gotów jest do dziedziczenia wszystkiego, a w krokodylim brzuchu swoim wiele już niemożliwych spadków pomieścił, jak oto naprzykład:

Morze Północne? Ależ nie!... To jest morze Niemieckie. Rasa indo-europejska? Nie! To rasa indo-germańska. Antropologiczny, między innemi i w Polsce liczny, typ nordycki? Nie! To rasowy typ wyłącznie niemiecki. Prehistoria słowiańska? Nie! To prehistoria germańska. Styl ostrołukowy? Nie! To styl niemiecki. Wit Stwosz, Kopernik — to Polacy? Nie! To Niemcy rodowici. Swastyka— to święty znak aryjski, także w Polsce zdawna szeroko rozpowszechniony? Nie! To wyłączny znak niemiecki. Ziemie pośrodku państwa niemieckiego leżące, a polskiemi nazwami geograficznemi usiane—to dawne ziemie polskie? Nie! To ziemie pra-niemieckie. Ziemie w Polsce samej o pra-dawnej ludności rdzennie polskiej—to są ziemie polskie? Nie! Te ziemie, z których uczyniono „wariacki twór wersalski—korytarz pomorski"—te ziemie rdzennie są niemieckie. Polska—przedmurzem cywilizacji europejskiej? Ależ nie! To Niemcy podjęły się wspaniałomyślnie tej roli dziejowej... I tak dalej, dopóki jakie potężne uderzenie pięścią w nos nie otrzeźwi na chwilę naszego Jasia-marzyciela.

W wypadku z Nietzschem mogliby Niemcy

powoływać się na to, że człowiek genialny z natury rzeczy w wielu cechach swoich różni się od ludzi przeciętnych, z których miąższ każdego narodu się składa. Lecz nie dotyczy to bynajmniej cech zasadniczych, które tu jedynie pod uwagę są brane. Mickiewicz jest zgruntu polski, tak samo jak Goethe—zgruntu niemiecki. Sam język dzieł jeszcze rasy duchowej ich twórcy nie przesądza. W przeciwnym razie musielibyśmy Heinego zaliczyć do poetów niemieckich, co przeczyłoby oczywistości. Jak żydowskość Heinego, taką samą też oczywistością jest polskość Nietzschego. (Co, mówiąc nawiasem, pięknym być może dla jakiego krytyka polskiego tematem obszernej rozprawy psychologicznej).

Pokazowe na cały świat oświadczenie spadkobierczej miłości do Nietzschego i zaciekła nienawiść do polskości—dwa zjawiska tak sobie nawzajem przeczące—posiadają jednak, o—dziwo! wspólny rdzeń, jak dwa konary z jednego pnia wyrastające. Wspólnym rdzeniem owym jest odczuwana przez naród niemiecki bijologiczna żądza wchłonięcia w siebie żywych sił narodu polskiego dla uszlachetnienia gatunku niemieckiego. (Niemcy z tajoną zawiścią pospolitaka spoglądają na liczne cechy artyzmu i arystokratyzmu polskiego). Droga do takiego wchłonięcia prowadzi tylko jedna—przez wynarodowienie Polaków, a wynarodowienie dokonywa się przez zniszczenie języka polskiego i polskiej pamięci historycznej. Poczem żywa siła bijologiczna wynarodowionych rzesz pracuje i tworzy pod zmienioną nazwą narodową dla chwały i wielkości niemczyzny, a to zupełnie tak samo, jak stało się z Fryderykiem Nietzschem. Jak tu, tak i tam zataja się pochodzenie, fałszuje się, co trzeba—i spadek zabezpieczony.

Jako typowi dorobkiewicze Niemcy czynią to z całą brutalnością, pedanterią i cynizmem, niszcząc kulturę polską, zaś krwią polską poprawiając sobie rasę swoją—płaską i gruboskórną, a to wszystko przy głośnym wtórze oszczorstw i obelg, na Polskę ciskanych. Chyba jeden tylko na świecie naród żydowski mógłby się zdobyć na taką, stałą i w wielkiej zbiorowości zorganizowaną obłudę. Niemcy wielokrotnie podobni są do żydów. Nie o nich tu jednak chodzi, ani o ich oskarżanie. Chodzi o Polskę i o marnowanie wielkich zasobów, jakie przyroda w narodzie polskim złożyła.

Ta od tysiąca lat płacona Niemcom krwawa danina, z żywego materiału ludzkiego złożona, stanowi niesłychane marnotrawstwo bijologiczne, uboży bowiem wielkie możliwości narodu polskiego, a wśród Niemców (odliczywszy takie wyjątki, jak Nietzsche) ginie naogół zabagniona i zatłuszczona ciężarem znanych cech licznego narodu niemieckiego. Wiadomo, że gatunek pośledniejszy zabija domieszkę krwi lepszej, sam zaś uzyskuje tylko czasem cudzą aureolę dla własnych gminności, na co wypadek z odziedziczeniem Nietzschego jaskrawym jest przykładem. Obecnie znowu przygotowują Niemcy wielki najazd zbrojny na Polskę, ażeby nowy po niej spadek otrzymać w postaci ziem i ludzi. Odparcie tego najazdu, a więc natychmiastowe przygotowanie się bojowe, stanowi dla Polski najwyższy obowiązek nietylko patriotyczny i narodowy, ale nadto — obowiązek względem kultury i bijologicznej przyszłości rodu ludzkiego.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

FILOLOG PRZEMYSŁOWCEM

WŚRÓD wielu skrótów, jakie na każdym kroku spotykamy, jeden ma osobliwą wymowę: „W s. s.". Jakże znamy te złowrogie literki! Iluż w Polsce, — niebrak takich wśród najbliższych kolegów, — sygnuje niemi dzisiaj swoje byłe tytuły. „W s. s.", czyli „w stanie spoczynku", to herbowe zawołanie naszych „młodych emerytów".

Tylko że bieg życia, nieubłagany ironista, przemienia to zawołanie raz po raz właśnie na opak. Profesor U. S. B. w s. s., tworzący w Bukareszcie placówkę wiedzy o Polsce, profesor U. J., zakładający w Polsce angielskie fachowe czasopismo ekonomiczne, — młodzi przymusowi emeryci, po zrujnowaniu im dawnych, stwarzający nowe warsztaty pracy, — to ludzie z pod zawołania nie „w s. s"., ale „w s. w." = „w stanie wysiłku" — i wysiłku owocnego.

Pracowników z pod tego zawołania nie brak nam i w latach dawniejszych. Patronat wszelako nad nimi wszystkimi winienby przypaść Wielkopolaninowi, wybitnemu uczonemu, zamiłowanemu pedagogowi, który, przeniesiony „w s. s.", stał się niebawem jakby wiązaniem węgłowem... wielkiego przemysłu żelaznego. Wobec nadchodzącej setnej rocznicy pierwszego wystąpienia naukowego Hipolita Cegielskiego, — bo o nim właśnie mowa — warto przypomnieć bieg pracy i zasługi literackiej tego wielkiego patrona.

Był to filolog z Bożej łaski i z powołania które go pewną ręką od wczesnej młodości wiodło po drodze pracy naukowej. Ukończywszy progimnazjum w Trzemesznie, a gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu, w dwudziestym roku życia (1835) wstąpił na uniwersytet w Berlinie i jął się studjum filologji klasycznej i gramatyki porównawczej. Równocześnie jednak z własnego już impulsu i całkowicie na własną rękę, bez przewodnika, prowadził gruntowne studja nad literaturą staropolską. Z jakim skutkiem — zobaczyć można było wcześnie. Już w r. 1837, na drugim roku uniwersytetu, wystąpił on publicznie i odniósł pierszy wspaniały sukces w zakresie naukowej krytyki literackiej polskiej.

Od dłuższego czasu trwała była podówczas w Polsce, raz po raz odnawiana po książkach i czasopismach, walka podjazdowa przeciwko „poczciwej sławie" Jana Kochanowskiego. Zapalczywi romantycy, w ogniu szermierek z klasykami, atakowali poetę z Czarnolasu za jego — renesansowość. On to — uważano — skrzywił linię rozwojową rodzimej literatury polskiej, naginając ją do wzorów klasycznych. Siłą swego talentu zniewolił współczesnych, że poszli w jego ślady, zaniechawszy rodzimych źródeł w formach zarówno jak w tematyce literackiej. Do tych „odbronzowiaczy" Kochanowskiego należeli najtęższi krytycy romantyczni, z Mochnackim i W. A. Maciejewskim na czele.

W szranki tej to właśnie walki wkroczył Cegielski. W obszernej rozprawie (drukowanej w leszczyńskim „Przyjacielu Ludu"), opartej na gruntownem zgłębieniu Kochanowskiego i jego epoki, wykazał on dowodnie opaczne bałamuctwo w takiem właśnie stawianiu sprawy. Jest przecież wręcz przeciwnie. Kochanowski, zrywając z wyłącznością łaciny w poezji ukształconej, czyniąc z języka polskiego podatne i sprawne narzędzie poetyckie, treściowo zaś nawiązując do uczuć narodowych i religijnych masy ludu polskiego, — on to właśnie „powołał naród cały, by spleśniałej zbywszy się kory, do nowego poczuł się życia". Przez rolę, jaką odegrał w dziele spajania kulury narodowej w ograniczną jedność, był on właśnie twórcą iście narodowym.

Już ta rozprawa młodego studenta ukazywała w autorze siłę naukową pierwszorzędną. Dalsze lata nie zawiodły obudzonych nadziei. Po dysertacji doktorskiej z zakresu gramatyki („*De negatione*") przyszły rozprawy z zakresu to językoznawstwa, to estetyki. Rozprawa „O słowie polskiem i konjugacjach jego (1842) zwróciła na siebie uwagę naszego świata naukowego. Zainteresował się nią nawet filozof Trentowski. „Rozprawa O polskiem słowie — pisał — jest bardzo porządna i przeczytałem ją z rozkoszą". Zamiłowania językoznawcze i potrzeba szko'na skłoniły Cegielskiego też do opracowania „Gramatyki greckiej" (1843). Jeszcze większą potrzebę zaspokoiła „Teoria poezji i jej rodzajów", wydana w r. 1845 jako część wstępna obszernych wypisów szkolnych poezji i prozy. Przynosiła ona znakomite — w duchu heglowskim — ujęcie poetyki i estetyki poezji, systematykę i określenie jej gatunków, zarys wersyfikacji; służyła też swemu zadaniu przez długi czas, w wielu wydaniach (ostatnie przygotował W. Nehring).

Cegielski nie zostawił przecież odłogiem i zagadnień historyczno-literackich. Pociągnęła go ku nim znowu potrzeba chwili. I tym razem wypadło mu ująć się za poetą atakowanym, za drugim swoim poetą ulubionym, i określić jego stanowisko w kulturze narodowej. Oburzony artykułem jakiegoś anonimowego napastnika, który w „Roku" zaatakował jadowicie Mickiewicza, odmawiając — teraz jemu z kolei — tytułu poety narodowego, co gorsza: insynuując mu odstępstwo narodowe.— Cegielski w rzeczowej, choć mocno uczuciem podłożonej replice („Odparcie potwarzy, rzuconej na A. Mickiewicza..." 1845) wykazał bezpodstawność i niedorzeczność tamtych zarzutów. Anonim na takie *dictum* nie miał już odwagi odezwać się ponownie.

Z takiem przysposobieniem naukowem, z takiemi zasobami wiedzy, był Cegielski wprost predysponowany na katedrę uniwerytecką. Ale cóż! W Niemczech szukać jej nie chciał, w ojczyźnie nie mógł. Zdolności swe oddał na usługi szkole średniej. Uczył w gimnazjum Marii Magdaleny — aż do katastrofy. Katastrofa przyszła na wiosnę 1846 r. Poznańska młodzież szkolna reagowała żywo na prądy wolnościowe, nurtujące społeczeństwo. Zaniepokoiło to rząd i prezes rejencji Beurmann nakazał nauczycielom przeprowadzać rewizje w mieszkaniach uczniowskich. Cegielski odmówił. Konsekwencja była natychmiastowa: dyscyplinarka i — usunięcie ze służby (s. s.).

Usunięty — mógł był (jak to zrobił wcześniej J. Muczkowski, jak niebawem zrobić miał Małecki) szukać terenu do pracy naukowej w Galicji, — ale nie chciał rzucać stron rodzinnych. Mógł był (jak rabiało wielu) szukać środków utrzymania przez nauczanie prywatne, — ale też nie chciał. Zapaliła się bowiem w nim myśl inna, niespodziana: przerzucić się do handlu i przemysłu. „Trzeba było mocy charakteru tego człowieka — pisze biograf — jego energji, aby, mając lat trzydzieści przeszło, będąc żonatym, powiedzieć sobie, iż się życie na nowo rozpocznie, zdobędzie nowe dlań zasoby i nie cofnąć się przed drugim nowicjatem cale innego zawodu".

Cegielski się nie cofnął. Doktór filozofii uniwersytetu berlińskiego poszedł w Poznaniu na subjekta do handlu żelazem i narzędziami rolniczemi. Po niedługim czasie założył własny sklepik, sprzedawał garnki, sierpy i kosy. „Przeświadczył się — pisze o nim Z. Krasiński — że kotły i kociołki więcej przynoszą, niż książki i pisma". Ależ bo ten filolog okazał się rychło pierwszorzędnym przemysłowcem. Od sklepu do warsztatu, do fabryczki, do dużej odlewni, do wielkiej wreszcie fabryki — droga daleka. Odbył on ją przecież krokiem bardzo szybkim. Jeszcze dobrze przed śmiercią założyciela (1868) fabryka Cegielskiego wyrabiać poczęła lokomobile.

Cegielski przemysłowiec, siłą rzeczy wciągnięty rychło także w życie polityczne, nie sprzeniewierzył się przecież pierwszej swej miłości i został wierny literaturze. Nawet z językoznawstwem nie zerwał i z okazji pewnej batalji ortograficznej (miała ich i Wielkopolska u siebie kilka) wystąpił z osobną broszurą polemiczną, Piśmiennictwu i wogóle kulturze umysłowej kraju przysługiwał się na innych drogach. Jako wiceprezes Towarzystwa Naukowej Pomocy rozciągał opiekę nad studjującą młodzieżą uniwersytecką, nad rozwojem oświaty. Wiele też uczynił dla rozwoju prasy.

W r. 1849 założył i przez czas jakiś sam redagował „Gazetę Polską", po jej zwinięciu podtrzymywał „Gońca Polskiego". A gdy i ten padł ofiarą represyj rządowych, przeczekawszy okres ciężkiej reakcji, założył 1859 r. „Dziennik Poznański". Pisma te, poza polityczną, odegrały pierwszorzędną rolę w budzeniu życia umysłowego, zainteresowań artystycznych i literackich. Prócz sił miejscowych zaproszono do współpracownictwa także wybitnych twórców z emigracji. Znalazło się tu miejsce i dla Norwida, dla Goszczyńskiego, nie mówiąc już o Kraszewskim.

Od założenia zakładów przemysłowych Cegielskiego upływa już 90 lat. Czem one były dla Wielkopolski, czem są i będą dla Polski zjednoczonej, — nie literatowi o tem mówić. Warto jednak przypomnieć, że to jest dzieło człowieka „w s. w.".

Stary Mefisto — jak widzimy — znowu się potknął: chciał zła, a dał podnietę do stworzenia dobra.

Choć oczywiście nie obeszło się przytem bez szkody. Niewątpliwie, Cegielski-historyk i krytyk literacki, uczony filolog, nie rozwinął wszystkich, i w tym także kierunku bogato przydzielonych sił. Z nawiązką zato wypłacił się narodowi na polach innych.

„Kur. Pozn." STANISŁAW PIGOŃ

NA WIDOWNI

Sienkiewicz i Askenazy.—Jak to było w Vevey.—Wielki artysta w sieci pająka. — Masoneria przed wojną i teraz. — Trzeba wiedzieć całą prawdę.

GOTÓW jestem dać zapowiedzianą w nr. 49 odpowiedź na interpelację „Merkuriusza Polskiego" w sprawie środowiska, które usiłowało wywierać wpływ polityczny na Sienkiewicza. Ale wprzód zastrzeżenie.

Nie mam wcale ochoty bawienia publiczności sensacją, jakby tego chcieli interpelanci, zadający mi sugestywne w tym kierunku pytania. Poruszyłem tę kwestię przy sposobności tytułem przykładu, aby nim uzasadnić potrzebę wyjaśniania stosunków. Największą reformą naszych stosunków będzie ich wyjaśnienie. Nie można żyć po ciemku.

Dopóki rządzić się będą w społeczeństwie elementy, którym zależy na ciemności, żadna praca nie będzie dokonana z pożytkiem dla kraju. Od tego więc trzeba zaczynać reformy — od wywalczenia zupełnej niezawisłości dla myśli (i woli) polskiej. Obecnie nie mamy jeszcze wolności.

— — — — — — — — — — — —

Dajmy na początku ilustrację. We wrześniu 1922 r. oglądaliśmy w Zachęcie wielkie płótno niejakiego Kamira (Kaufmanna), przedstawiające Sienkiewicza w otoczeniu „przyjaciół" politycznych. Obraz ten, zamówiony u współwyznawcy przez Askenazego, miał upamiętnić dla potomności tę chwilę dziejową, kiedy to on — Askenazy—ważył w ręku losy Polski. Potomność będzie wiedziała, w jak wspaniałem towarzystwie wtedy przebywał, kto robotę jego żyrował.

Silny blask lampy oświetla centralną tutaj postać mecenasa Antoniego Osuchowskiego, obok Sienkiewicz, który pod inspiracją tego mistrza coś redaguje; za plecami Sienkiewicza, kontrolujący ich obu, stoi Askenazy. Dalej przy stole siedzi Władysław Mickiewicz i przedstawicielka Anglii, pani Alma Tadema; w głębi stoi Paderewski i niefortunny dyplomata Kowalski.

W ten sposób uwieczniono skład Komitetu pomocy ofiarom wojny w Vevey. Postaci Paderewskiego, Wł. Mickiewicza i Almy Tademy dodano dla zapełnienia płótna i pogłębienia obrazu historycznego, faktycznie bowiem stale pracowali w Vevey: Osuchowski, Sienkiewicz i Askenazy. Jak się czuł Sienkiewicz w tem towarzystwie, świadczą najlepiej jego własne listy do Ignacego Chrzanowskiego, ogłoszone niedawno (nr. 47) przez adresata w „Myśli Narodowej".

Między innemi pisze: „Były tu już, jak zawsze między Lechitami (oraz Lechitami świeższej daty), różne tarcia, które trzeba było łagodzić". Owym Lechitą świeższej daty był Askenazy. „Skutek jest taki, że on [Osuchowski] nienawidzi wszystkich innych członków Komitetu, oni nienawidzą jego... I wszystko byłoby się rozleciało, gdyby nie konieczne a częste, zwłaszcza w początkach, z mojej strony: *quos ego*". Dnia 24 listopada 1915 r. Sienkiewicz pisze: „Powiedziałem Osuchowskiemu kilka słów prawdy spokojnie i życzliwie, że ma przykry charakter, że budzi niechęć w ludziach, że zagarnia zasługi innych. Nie wiem, co sobie w duszy myśli i, czy nie skupiła się w nim uraza do mnie, ale nazewnątrz jest, jakby go kto posmarował śmietaną i ocukrzył. — Dobre i to!"

Nie była to więc, jak widzimy, przyjaźń ani z Osuchowskim, ani z Askenazym.

— — — — — — — — — — — —

Sienkiewicz zadawał sobie ciężki przymus, przebywając w tem towarzystwie, byli to bowiem jego dozorcy, od których nie mógł się wymówić, dozorcy, sprawujący wobec świata rolę opiekunów wielkiego pisarza.

Sienkiewicza miejsce było wtedy w Paryżu, ale nie mógł się stąd ruszyć, wmówiono mu, że najwyższem jego powołaniem jest w tym czasie jałmużnictwo.

„Przykrzy się Szwaicaria" — pisze w jednym z listów. „Nie masz pojęcia"—dodaje w innym— „do jakiego stopnia pobyt w Szwajcarii stał się nudny i ciężki... Siedzę jednak tu wytrwale i nie ruszam się nigdzie, a ta wiadomość, którą podały dzienniki, że jestem obecnie w Paryżu, to jest gazeciarska blaga"... Kiedy indziej pisał (24.XI.1915) o swojej „orientacji": „Czytam ciągle, a przynajmniej od czasu do czasu w gazetach o rozmaitych moich orientacjach. Czasem się to przykrzy. Wprawdzie i ja często „*timeo*", ale moje stanowisko jest proste. Uczuciowo jest przyjazne dla tych, którzy chcą i mogą zapewnić nam jaknajwięcej samodzielności i rozwoju"...

Prawdziwe stanowisko Sienkiewicza kryło się w tem słówku: „*timeo*". *Timeo Danaos et dona ferentes*. Nie wierzył Niemcom. Askenazego rzeczą było wymóc na nim milczenie i udaremnić wszystkie próby wypowiedzenia „uczuciowego" stosunku do rzeczy i takiego związania go z instytucją w Vevey, aby nigdzie ruszyć się nie mógł. Sienkiewicz dał sobie to wmówić; przynajmniej tak to siostrzeńcowi przedstawiał, jakoby działał według swej woli. Ze słów jego dobywa się gorycz.

„Faktycznie"—pisze dalej—„póki jestem prezesem komitetu, który musi mieć dostęp do wszystkich dzielnic, [stanowisko moje] jest ściśle neutralne. Przestrzegam tego tak dalece, że gdy mnie rząd francuski zaprosił do zwiedzenia frontu — odmówiłem. Łatwo sobie wyobrazisz, że nie brakło mi ochoty widzieć wojnę zbliska, tak jak ją oglądał zaproszony Rudyard Kipling. Ale ponieważ trzebaby było oświadczać się z sympatiami, widywać figury urzędowe, podlegać wywiadom dziennikarskim, więc wolałem się wstrzymać. Kosztowało mnie to dużo, ale trudno!"

Pilnie go strzeżono — wiedzieliśmy o tem skądinąd — aby broń Boże nie wypowiedział się nigdzie ze swemi sympatiami. Było już takie zdarzenie na wiosnę, że nie dopilnowano go dostatecznie i oto w publikacji francuskiej „*l'Art et les artistes*" wydrukowano (obok Maeterlincka) opinię Sienkiewicza. Nazwał tam Niemców ośmiornicą, będącą nieszczęściem dla otoczenia i wyraził wątpliwość, aby naród tak osamotniony, będący sprawcą największych nieszczęść, mógł sprostać naciskowi powszechnej nienawiści.

Było to na wiosnę 1915, ale takie rzeczy nie mogły się już powtórzyć.

— — — — — — — — — — — —

Askenazy śmiał się w duszy z „neutralności". Prowadził politykę żydowską, której nieodzownym warunkiem była propaganda orjentacji pro-germańskiej. W czasie wojny wydawał w Szwajcari

misternie, po intrygancku kreślone „Uwagi". Wydał je potem w Warszawie w r. 1924, tak starannie oczyszczone, jakby zawsze był po stronie państw zwycięskich. W przedmowie do tej książki swoją wojenną orientację określa w sposób wyzywająco obłudny, że był — jak Staszic— „ani pruskim, ani cesarskim, ani moskiewskim, ale najprzywiązańszym stronnikiem Narodu Polskiego". Poczem skarży się, że mu właśnie za to stanowisko wszystkie trzy państwa zaborcze groziły represjami, co było nieprawdą. Polska wolna to stanowisko mu darowała, owszem zrobiła go dyplomatą.

Jak było w rzeczywistości? Po wojnie wyszedł na jaw dokument w postaci raportu wysłannika krakowskiego NKN-u, który kierował polityką pro-austriacką. Wysłannik ten na wiosnę 1915 był w Vevey. W ustępie zatytułowanym „Widzenie się z Askenazym" czytamy bardzo interesujące rzeczy [1]).

Askenazy uskarżał się przed wysłannikiem na Paderewskiego. Trzeba go było wziąć do Komitetu Obywatelskiego, bo jest popularny w Szwajcarii, ale wiele kłopotu z jego nieobliczalnością. Askenazy doradza, aby NKN postarał się o zamieszczenie w wiedeńskim czasopiśmie „*Polen*" (wydawał je żyd Goldscheider, dziś — Goryński), ataku na Paderewskiego. On sam starał się unieszkodliwić Pad-go. Kiedy ten jechał do Londynu, A. wysłał od Komitetu 60 listów do najwybitniejszych ludzi, aby go odpowiednio przyjęli.

Jak bardzo dozorcy obawiali się Sienkiewicza i jakich sposobów się imali, aby go zniewolić do orientacji centralnej, dowodzi taki ustęp w raporcie do NKN. owego wysłannika:

„Trzeba wysłać koniecznie kogoś dla zjednania Sienkiewicza, który jest przeciwnikiem NKN i legionów. Ale kogoś jednak poważnego. Może z dawnych znajomych Sienkiewicza. Byli w Vevey Skarbek, Witos i Tetmajer, niechże NKN o tem pomyśli".

Potrochu wielki pisarz, nękany chorobą serca, godził się z losem. „Kosztowało mnie to dużo— pisał do siostrzeńca—ale trudno"! A kiedy umarł, Askenazy ogłosił w lozańskim „*Moniteur Polonais*" nekrolog, a w nim tak podawał światu prawdę historyczną:

...„Pisarz „Legionów", odbierał należny sobie hołd od walczącej za Nią [Polskę] młodzieży legionowej, wykarmionej na jego pismach duchem rycerskim przodków. Nie bez przezornej troski, lecz wręcz od podsuwanego sobie uchylając się protestu, z żywą pociechą powitał zapowiedź państwa polskiego."

„Pisarz „Krzyżaków" dobrze był świadom piętrzących się po drodze przeszkód i sideł, lecz nie wątpił, że Naród z niemi sobie poradzi i prawą zdobędzie ojcowiznę". (Uwagi, str. 125).

Proszę w te słowa się wczytać, ile w nich namysłu, aby wszystko było dwuznaczne i żeby samego Ask. autorytetem Sienkiewicza usprawiedliwiło. Pisarz „Legionów" (napoleońskich), więc przez samo brzmienie słowa niby protektor legionów ówczesnych, których — jak sam do raportu zeznał—ten pisarz był przeciwnikiem. Któż z tego się dowie, czy Sienkiewicz godził się na rozwiązanie sprawy Beselerowskie, czy nie? W rezultacie mamy wierzyć, że „neutralność" Askenazego była wyrazem jego wiary w Naród polski— wierzył, że Naród jakoś „sobie poradzi"...

A przecież robił wszystko, co mógł, aby Komitet Narodowy w Paryżu z tem wielkiem zadaniem sobie nie poradził!

— — — — — — — — — — — — —

Oto—zamiast odpowiedzi na niedyskretne pytanie—obrazek z czasów wojny, jak wyglądały sidła, nastawione na wielkiego pisarza. Zależało komuś bardzo na tem, aby autorytet Sienkiewicza nie padł na szalę wyroków dziejowych. To trzeba rozumieć, trzeba być zdolnym do odczucia grozy naszego położenia, że—dopóki będziemy w rękach cudzych w cudzej grze atutem, nigdy nie będziemy pewni swego losu.

To co pisałem poprzednio o osaczaniu Sienkiewicza, a co tak zainteresowało interpelantów, to było przygotowywanie stosunków do chwili tak krytycznej. Łowiono w sidła wybitnych przedstawicieli polskiego „rządu dusz"; różne loże współzawodniczyły i współdziałały. Dosyć przeczytać świeżo wydany pamiętnik dyplomaty Michała Sokolnickiego „Czternaście lat", aby wiedzieć, jak złapano Żeromskiego już nie do „neutralnego", lecz do aktywnego obozu, gdzie rządził Wielki Wschód. Sokolnicki bezlitośnie tę sprawę przedstawia, rekomendując się przytem jako ten, który propozycję Żeromskiego wstąpienia do loży odrzucił. Nie dodaje tylko tego, że nie mógł tej propozycji przyjąć, bo już poprzednio wciągnięty był do służby przez Askenazego. Roi się w pamiętniku od niewinnych stosunków z Askenazym i Bennim. Stąd dwuznaczna jego w dziejach 14 lat rola.

Przez szereg lat otaczała Sienkiewicza opieka tych „świeższej daty Lechitów" Askenazego, Benniego, Lea („Gazeta Polska"), a dalej D. Henkla („Bibl. Warszawska") i A. Osuchowskiego, zręcznie zażytego człowieczka do reklamowania działalności filantropijno - obywatelskiej tego grona. Owa filantropia to było *alibi*, zasłaniające parawanem robotę polityczną.

Dzisiaj ten parawan już jest niepotrzebny. Loże są tak pewne siebie, że ich mistrzowie reklamują się swemi tytułami. Dawniej obce potencje nie liczyły się z Polską, masonerja odżywiała się tradycjami dawnego wolnomularstwa i, posiłkowana przez snobów polskich, terenem była cichych prac żydowskich, umacniających się w Polsce. Loży szkockiej wystarczał salon Benniego.

Dzisiaj szarpią nas agentury obce wewnątrz coraz niecierpliwiej, w miarę jak wzrasta obronność ducha narodowego. A współzawodnictwo ich między sobą stacza nas po pochyłości ku komunizmowi. Już nie o łowienie wybitnych pisarzy chodzi, lecz zarówno i o masy. Widzicie, jak się licytują grupy młodzieży i różnych naprawiaczy w radykalizmie społecznym i bezbożnictwie i że naród nie ma z tej strony żadnego zabezpieczenia, jak tylko samoobronę. A jakże ta jest utrudniona w czasach, gdy prawo zwykłego patriotyzmu jest kwestionowane jako „faszyzm".

ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[1]) Ob. „Gaz. Warsz." nr. 282 i 283 z r. 1922.

GŁOSY

DZIAŁALNOŚĆ KOMINTERNU WE FRANCJI I W HISZPANII.

Niedawno otwarty klub dyskusyjny inteligencji narodowej ma już po za sobą dwa ciekawe wieczory. Na ostatnim z nich mówił o „Działalności Kominternu we Francji i w Hiszpanii" mec. Małachowski. Z jego świetnego przedstawienia dowiedzieliśmy się jak dalece nie zdajemy sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa, które niestety aż nazbyt jest realne.

Komintern jest bowiem olbrzymią organizacją, prawdziwym sztabem dowodzącym 67 armiami, jakiemi są partie komunistyczne w wszystkich „burżuazyjnych" krajach. Prócz tego straż przednią tworzy 17 międzynarodówek pozornie z komunizmem nic nie mających wspólnego. Działają one w sferze społecznej, zawodowej, sportowej, intellektualnej i mają za zadanie urobienie umysłów do łatwiejszego przyjęcia później tak sprzecznych z ludzką naturą doktryn marksizmu.

Obserwujemy to we Francji, szczególniej od zawarcia głośnego paktu z Sowietami. Znakomicie ilustrują to cyfry: w r. 1932 padło 800 tys. głosów na komunistów — w r. 1936 już 1.450 tys. w Paryżu jest 14 centrów międzynarodowego komunizmu i 41 francuskich organizacyj komunistycznych, wśród nich jedna polska dla naszego wychodźtwa. Francja dzisiejsza to jakby muszka szarpiąca się w sieci olbrzymiego pająka.

Jeszcze gorszy obraz przedstawia Hiszpania. Gorszy, bo komintern odkrył tam swoje oblicze i wepchnął kraj w krwawą anarchję; 160 kościołów całkiem, a 250 częściowo zostało zniszczonych, egzekucyj dokonano bez liku. Lepszy, bo zdemaskowany bolszewizm spotkał się z zdecydowanym odporem którego symbolem Alkazar. Kres zbrodniczym działaniom trzeba położyć zawczasu, aby nas nie spotkał straszliwy w swym tragiźmie los Hiszpanii!

SALENGRO

Z powodu samobójstwa ministra Salengro, „Tygodnik Ilustrowany" (z dn. 6-go b. m.) umieścił artykuł pióra p. Januarego Grzędzińskiego (zdaje się także pułkownik), piorunujący przeciwko oszczerstwu i potwarzy (p. t. „*Calumnia triumphans*").

W artykule dużo melancholijnej poezji i smętnego wspomnienia o tem, jak to w ciągu dziejów wielcy ludzie, zaczynając od Sokratesa, padali ofiarą czarnej Kalumnii — za mało jednak ścisłości w przytaczaniu faktów, dotyczących sprawy francuskiego ministra.

Czytajmy: .... odgrzebany i wznowiony przez niejakiego Beeuuarta, również posła z Lille i politycznego przeciwnika Salengro, zarzut dezercji i zdrady stał się hasłem oszczerczej akcji prasowej na użytek doraźnej polityki, w której obok zjadliwego p. Beraud z „*Candide*" (!!) piorunował nieokiełznany południowiec Carbuccia w „*Gringoire*" a obok doświadczonego w podobnych sprawach „*Figara*" nie zabrakło wypróbowanej w zajazdach „*Acton Francaise*" — nomen omen" — której politycznej namiętności nie hamuje nawet sędziwy wiek 70-letniego redaktora Maurras'a".

Zdawałoby się, że kto tak znakomicie orjentuje się, jak autor wspomnianego artykułu, w stosunkach Francji, że aż współpracownika „*Gringoire'a*" przenosi do „*Candide'a*", w którym Beraud dotychczas nie napisał ani słowa, — powinien chyba wiedzieć, że to nie wyżej przytoczone pisma rozpoczęły akcję oszczerczą przeciw ministrowi Salengro, lecz właśnie pisma tych, co później mieli bezczelność ronić łzy nad jego grobem.

Na wiele lat przed deputowanym Becquart'em sprawę dezercji Salengro, — wyciągnęli na światło dzienne syndykaliści i komuniści z Lille, ich pisma „*Proletaire*" i *L' Enchainé du Nord et du Pas-De-Calais*", ich redaktor p. Florimond Bonte, obecnie deputowany komunistyczny jednego z okręgów Paryża.

Pisma te nazywały już w 1922 r. p. Salengro "*Rogers-la-ponte*", zarzucały mu mnóstwo brudnych sprawek, w następnych latach (1926, 27) groziły mu kompromitującymi rewelacjami, no i żonie jego wymyślały od... prostytutek.

Są to fakty dostateczne roztrąbione przez prasę paryską różnych odcieni, więc tak pilny jej czytelnik p. Grzędziński, mógłby przecież coś o tem wiedzieć... On jednak woli rzecz przedstawiać, zgodnie z urzędowem jej oświetleniem. A zatem dalej czytamy: „Wznowiono sprawę, szukano ponoć akt nawet w niemieckich archiwach, powołano do jej rozpatrzenia specjalną komisję kombatantów z samym generałem Gamelin, naczelnym wodzem, na czele. I oto komisja ta oczyszcza Salengro całkowicie z zarzutów oskarżenia. Parlament przytłaczającą większością 427, potępia te oszczerstwa i potwarze"...

O większości parlamentarnej, złożonej z przyjaciół politycznych ministra Salengro, nie ma co mówić, ale z tem „całkowitem oczyszczeniem" przez komisję wojskową, było cokolwiek inaczej: p. Grzędziński zapomniał dodać, że generał Gamelin nie podpisał jej protokułu, gdyż uważał, iż to, co komisja zrobiła, może być tylko materjałem dla dalszego postępowania w tej sprawie...

Podobnież nie chce p. Grzędziński nic wiedzieć o tem, że wszyscy pułkowi zwierzchnicy Salengro czasu wojny, odpowiedniemi listami stwierdzali w prasie, że zarzut dezercji jest słuszny i szczegółowo opisywali w jakich okolicznościach się odbyła.

Wszystko to jednak są fatałaszki, nie zasługujące na uwzględnienie, według spóźnionego obrońcy honoru samobójczego ministra. Powiadamy: spóźnionego obrońcy dla tego, że po uroczystym pogrzebie ministra, sprawę jego złożono *ad acta* i stłumiono. Zrobiono to dlatego, żeby nie być zmuszonym do odpowiadania na bardzo drażliwe pytania, mianowicie: dlaczego nie opublikowano trzeciego listu nieboszczyka do niejakiego p. Verlhomme? dlaczego nie pozwolono prasie sfotografować oryginału listów, ogłoszonych pod imieniem Roger Salengro, (tekst listu do brata, podany w „*Populaire*", był nieco odmienny od ogłoszonego w innym jakimś dzienniku), dlaczego przez trzy dni nie dopuszczano dziennikarzy do służącej zmarłego? etc, etc. Poza tem zapytywano również, ile jest w tem prawdy, iż wbrew następującym po sobie wersjom 1) że znaleziono zmarłego w łóżku, 2) w fotelu, 3) na ziemi — lekarz przyzwany stwierdził, że śmierć nastąpiła przy stole, podczas rozpoczętego obiadu...

To wszystko rzuca dość zagadkowe światło na warunki, w jakich się dokonało „samobójstwo"

ministra Salengro. A czyż w tem niema zagadki, że wybielony przez parlament minister, nic nie miał lepszego, jak natychmiast po tem pozbawić się życia? W tem wszystkiem dużo jest niejasności, budzących niejedną wątpliwość.

Nad niemi wszakże p. Grzędziński przechodzi do porządku dziennego i pisze o całej tej sprawie jakby pod dyktando sekretarza samego p. Bluma.

Dziwnym trafem artykuł p. Grzędzińskiego znalazł się obok innego niezwykłego, jak na „Tygodnik Ilustrowany", p. t. „Kielnia i szydło z worka", w którym dokonano ataku na knowania polityczne masonerii i zaproponowano wydanie ustawy, nakazującej ujawnienie jej u nas...

Otóż gdyby p. Grzędziński, przed pisaniem o ministrze Salengro, zwierzył się ze swego zamiaru przed autorem artykułu, wyżej wspomnianego, ten może mógłby go poinformować o tem, jakie to tajemnicze samobójstwa zdarzały się nieraz w rodzinie masońskiej...

NAUKA i LITERATURA

O MASONERII

N. Switkow. *„La Franc-maçsonnerie feminine"*, czyli międzynarodowy masoński ryt mieszany: „Prawo człowieka" (*„Le droit humain"*).

ODDAWIEN dawna różne sekty wywrotowe atakowały rodzinę i starały się zepsuć kobiety, przez co spodziewano się wiele osiągnąć; na tę drogę weszła również i masoneria, która w XVIII stuleciu starała się to uczynić zapomocą cynicznego rytu: mopsów i mopsic, a obecnie zapomocą rytu *„Le droit humain"*, stanowiącego masonerię mieszaną, założoną w Paryżu w 1892 r. przez siostrę M. Deraismes i brata Georges Martin. Ryt ten stworzył wiele organizacyj feministycznych i za cel istnienia stawia sobie wyzwolenie kobiet.

Oto hasła głoszone przezeń (wyrażone w broszurze p.t. „Rodzina" i wydanej przez *„Le droit humain"*).

1) Całkowita reforma kodeksu cywilnego, aby ustanowić „doskonałą równość w małżeństwie dwuch płci: równość praw, równość obowiązków".

2) Małżeństwo opiera się na kontrakcie podlegającym rewizji i poprawkom. Zerwanie klauzul konkraktu może zerwać małżeństwo.

3) „Uproszczenie formalności administracyjnych w otrzymaniu rozwodu i w wypadku zerwania kontraktu" (rozwód w 24 godz.)

4) Równouprawnienie polityczne obu płci. Kobieta ma czynne i bierne prawo wyborcze i dostęp do wszystkich urzędów.

5) Macierzyństwo winno być kontrolowane przez zbiorowość.

6) Dobrze zrozumiałe (?) nauczanie seksualne; młodym ludziom i dziewczętom będzie udzielane pouczanie przedślubne, aby dobrze uświadomiali sobie swą odpowiedzialność i spełniały swe obowiązki społeczne".

7) „Progresywne ograniczenie dziedziczenia, aż do całkowitej konfiskaty".

8) Organizacja szkoły jednolitej dla wszystkich dzieci".

Międzynarodówkę swą opiera ryt *„Le droit humain"* na idejach pacyfistycznych i szermuje „postępem" ludzkości.

Oto główne tezy pacyfistyczne:

1) Powszechne pouczanie ludzi w książkach, konferencjach i prasie o konieczności pokoju i surowych sankcjach na wszelki bezpośredni atak na ideję pokoju i apologię wojny.

2) Zmiana metod nauczania opartego o ducha współzawodnictwa i zmuszenie wychowawców do zastosowania się do przepisów międzynarodowego programu nauczania pacyfistycznego.

3) Całkowita reforma podręczników szkolnych, a szczególnie historii i lektury.

4) Zniesienie wszelkich manifestacyj i parad wojskowych.

5) Surowa kontrola nad prasą i surowe kary na tych, co fałszują prawdę w celu faworyzowania konfliktów zbrojnych między narodami, lub też przestrzegają przed dążeniami sąsiadów.

6) Kontrola nad widowiskami i literaturą dla dzieci i młodzieży.

7) Stworzenie ministerstwa pokoju.

Życiorysy założycieli rytu, skład jego najwyższej rady i ujawnienie 2,400 imion braci i sióstr rytu kończą tę krótką książkę, obliczoną na danie celu do ataków dla innych bojowców. A. P.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Nagrody artystyczne m. Poznania za rok 1936 przyznano w dziale literatury — znanemu literatowi poznańskiemu, autorowi kilku książek podróżniczych Arkademu Fiedlerowi, oraz w dziale plastyki —grafikowi Janowi Wronieckiemu, profesorowi państwowej Szkoły zdobniczej w Poznaniu. Nagrody wynoszą 5.000 zł. każda.

*

Sensację w niemieckim i w naszym świecie dziennikarskim wywołało ograniczenie przez Hitlera praw krytyki artystycznej.

Minister Propagandy Rzeszy dr. Goebbels wydał rozporządzenie, regulujące krytykę teatralną i artystyczną w Niemczech. Nazwa i pojęcie „Krytyk" została skasowana i zastąpiona urzędową nazwą sprawozdawcy artystycznego. Każde sprawozdanie artystyczne musi być podpisane pełnem imieniem i nazwiskiem sprawozdawcy, celem zapewnienia Ministerium Propagandy kontroli nad osobą sprawozdawcy artystycznego. Powierzenie mu tego zadania uzależnione będzie od specjalnego zezwolenia. Zasadniczym warunkiem uzyskania zgody na wykonywanie tej czynności będzie zdobycie specjalnego wykształcenia, oraz ukończenie przynajmniej 30-tu lat.

RUCH WYDAWNICZY

Gustaw Morcinek. „Gołębie na dachu". Warszawa 1936. Tow. „Rój".

Zbiór nowel na tematy, prawie że wyłącznie ilustrujące przeżycia autora jako uauczyciela. Ze szkoły i z poza szkoły, z lekcji, zabaw i trosk w mieście, przemawia na tych kartach dusza śląskiego dziecka. Śmiech miesza się ze łzami. Humor o akcentach rzewnych, lirycznych.

Nauczyciel dziś, na Śląsku stara się o postępy uczniów w nauce i troszczy się o ich wychowanie poza szkolne, o to, aby uczniowie zachowali czystość duszy i higienę ciała.

Nasza literatura o dzieciach, dla dzieci i dorosłych, mimo że wydawnictwa w okresie Bożego Narodzenia rok w rok obficie produkuje książki tego typu, przedstawia się ubogo w utwory istotnie artystyczne. Przeważnie cechuje je sztuczna naiwność, a przedewszystkiem brak wczucia się w wyobraźnię dziecka, nielogiczną, a ujmującej za serce. Takiem arcydziełem jest zbiór opowiadań włoskiego pisarza Amicisa. Takiemi w poezji są czarodziejskie bajki Kazimiery Iłłakowiczówny.

„Gołębie na dachu" Morcinka, nowele, raczej szkice, notatki, z życia szkoły, dążą szczęśliwie do wyżyn artyzmu, liryzmem o głębokich tonach i swoistym humorem. (A. W.)

*

Maria Maykowska. „Klasyczna teoria wymowy". Wyd. Kasy imienia Mianowskiego. Warszawa, 1936. Str. 87.

Teoretyczna podbudowa tej umiejętności czy nawet sztuki nigdy nie przestanie być wymaganiem, które wysuwa życie samo. I to zarowno ze względów estetyki, powiedzmy, artystycznych, jak i—czysto praktycznych:

„...Ci, którzy się posługują słowem pisanem" — mówi Arystoteles—„mizernie się przedstawiają, gdy zabierają głos w rozprawach sądowych, zręczni zaś w wystąpieniach publicznych mówcy, gdy czytamy ich przemówienia robią wrażenie czegoś prostackiego". (Rh. III 1413b). Możnaby to z równem, kto wie, czy nie większem powodzeniem odnieść

do czasów dzisiejszych, w których powstają i rodzą się samorodni zupełnie „nie obciążeni dziedzicznie“ kulturą literacką mówcy i publicyści-retorzy...

Autorka wyczerpująco, na podstawie rozległego oczytania w autorach starożytnych, omawia następujące działy wymowy: 1) sposoby argumentowania, 2) układ mowy, 3) wysłowienie, 4) wystąpienie na mównicy, 5) retoryka i filozofia, 6) retoryka i krytyka literacka.

W pracy p. Maykowskiej została unaoczniona współzależność teorii wymowy z innemi dyscyplinami umysłowemi, ze studiami literackiemi, filozoficznemi, językowemi, wreszcie — co wybiega poza ciasne ramy, nakreślone przez seminaryjny charakter rozprawki—z życiem społecznem i szkołą. Książeczka zainteresuje nie tylko filologów. (ST. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

TADEUSZ KULISIEWICZ

NIEJEDNOKROTNIE ludziska zwracają się do nas plastyków z zapytaniami, które nam się wydają naiwne. Np.: a, pan artysta, a jaka jest właściwie pana specjalność, portret, pejżaż, czy też?.. Albo? niech mi pan powie, kto jest teraz największym malarzem? Pewien znajomy student powiedział mi wręcz: słyszałem, że po Skoczylasie największym grafikiem ma być Kulisiewicz. Wyraził się: „ma być“, jakby miał na myśli dziedzictwo tronu.

Gdyby mnie ktoś o to zapytał dziś, po otwarciu wystawy Kulisiewicza w Iksie, nie kłopotałbym się wcale z odpowiedzią. Tak, proszę państwa, największym polskim grafikiem jest obecnie Tadeusz Kulisiewicz. Pierwsze zetknięcie się z dziełem wielkiego talentu bywa często jak uderzenie obuchem w łeb. I nie może dziać się inaczej: oto zjawia się ktoś, kto nas wytrąca z normalnej koleiny, którą drepczemy codziennie, ktoś, kto każe naszym płucom zmienić rytm normalnego oddechu i oddychać powietrzem szczytów. Skali naszych odczuć artysta wyznacza inną, nową dawkę. Można się ze sztuką Kulisiewicza nie godzić, można mieć upodobania estetyczne skłaniające raczej ku innemu widzeniu świata, lecz niepodobna minąć jej obojętnie i oglądać ją bez wzruszenia. Bowiem głęboka wiara we własną wizję artystyczną, żarliwość z jaką grafik kształtuje swe drzeworyty, miłość własnej pracy wreszcie, emanują wszystkiemi fibrami z jego dzieł i zniewalają widza.

Tak się złożyło, że jednocześnie z Kulisiewiczem pokazało w Iksie metaloryty kilku grafików francuskich i to niebylejakich. Są pomiędzy nimi „firmy" takie, jak Gromaire, znany miedziorytnik Laboureur i t. d. Jakże to żałosny widok w zestawieniu z Kulisiewiczem! Poza pomysłami formalnymi, kulturą graficzną, ciekawą nieraz techniką — dosłownie nic[1]).

Rozpatrzmy się przeto w sztuce naszego drzeworytnika, aby stwierdzić, czem ona zwycięża. Już od kilku lat szereg miesięcy letnich spędza Kulisiewicz na Szlembarku, wsi, która leży w Gorcach, między Nowym Targiem a Czorsztynem. Górale z tych okolic, to stały temat rycin Kulisiewicza. W samym wyborze takiego tematu nie byłoby jeszcze nic nowego, ani oryginalnego, gdyż góralszczyzną przed Kulisiewiczem interesował się niejeden wybitny plastyk, pisarz i muzyk. Ale wszyscy oni zostali urzeczeni odmiennością tego ludu i jego obyczaju, była to dla nich do pewnego stopnia egzotyka, pełna nowej malowniczości i dekoracyjnych walorów. Ten inny, nowy dla artystów świat, stał się dla nich źródłem nowych podniet twórczych.

Kulisiewicz zaludnił swoje drzeworyty góralami nie dlatego, że go uwiodła ta „inność", ale poto właśnie, żeby pokazać, że góral jest t a k i s a m jak inni. Zapragnął ukazać jego cechy człowiecze, bliźnim najbliższe, jego zwykłe, codzienne życie a nie legendę, lub zabawę (Skoczylas, Tetmajer). Zrozumiał i odczuł głęboko związek chłopa-górala z ziemią i uczynił z nich jedność. Dzięki specjalnej technice, na wielu jego rycinach postacie, ich przyodziewek, wyglądają jak nawierzchnia chropawej i spękanej, zeschniętej ziemi, W ostatnich drzeworytach, z teki „Wieś w Gorcach". ludzie i zwierzęta zrastają się z pejzażem w jedno, rytm kresek, które znaczą drobne figurki ludzkie; jest taki sam, jak rytm kolein drogi, wiodącej pod górę pasmami żłobin. Gdyby lawa zalała ziemię i można by ją było przekrajać na pół, jak jabłko, znaleźlibyśmy w niej zastygłe i zasuszone kształty ludzkie, zwierzęce i roślinne. Tak mniejwięcej wyglądają ludzie, wtopieni w pejzaż, u Kalisiewicza. Tkwią w nim jak płód w łonie matki.

Aczkolwiek Kulisiewicz nieczęsto przedstawia ludzi pracujących, nie można zapomnieć o pracy, patrząc na jego ryciny. Bowiem kształt człowieczy, w takiej postaci, w jakiej go widzimy na drzeworytach, zastał urobiony codziannem harowaniem, trudem fizycznym i ręce tych wszystkich ludzi nazawsze naznaczył stygmat mozolnej pracy. W dążeniu do osiągnięcia jaknajwiększego wyrazu, stosuje Kulisiewicz daleko posuniętą deformację, nieraz już przesadną i niepotrzebną, wkraczającą w granice karykatury. Zjawisko to — mam wrażenie — jest najczęstsze w tych wypadkach, gdy artysta zbyt się oddala od studjum natury i sięga do pamięci i otoczonych w niej atmosferą zbytniej egzaltacji wrażeń. Bo jednocześnie, z tak deformującymi kształt drzeworytami, wystawił Kulisiewicz kolekcję rysunków głów i postaci dziewczęcych, bardzo subtelnie przeprowadzonych, o dyskretnie podkreślonym, nikłym jak uśmiech wyrazie. Także znakomita głowa górala, ślepego na jedno oko, drzeworyt oparty na bezpośredniem podpatrzeniu natury, jest wnikliwem i świetnem, a nie przesadzonem ujęciem kształtu.

Okres największego nasilenia deformacji należy, zdaje się, już do minionych. Technika, która zbaczała w tym okresie na niebezpieczne manowce, również uległa zmianie. Jest teraz znowu męska, jasna, mocna, klarowna. Ukazuje zpowrotem kreskę i poddaje ją dyscyplinie rytowniczej. Ostatnia teka „Wieś w Gorcach" to jeszcze jeden (jakże piękny!) dowód żywotności telentu Kulisiewicza. Znajdujemy w tych drzeworytach, obok czerni, nowy ton: szarość, której artysta dotychczas nie wydobywał kreskowaniem. „Wieś w Gorcach" zawiera pozatem kilka prześlicznych pejzaży, które skrzą się poprostu jak brylant świetnością i bogactwem graficznem: Inne ryciny z tej samej teki są niemal białe, konturowe.

Coraz więcej ludzi lgnie do Kulisiewicza, krąg jego wielbicieli staje się coraz szerszy. Być może, iż jego sztuka psuje dobre samopoczucie niektórym ramolom, a także pederastom. Pewnym lalusiom, po obejrzeniu tych drzeworytów, może się nawet przyśnić coś niedobrego. Ale o nich wszystkich — mniejsza.

WIKTOR PODOSKI

[1]) Pewien wyjątek stanowią suche igły J. Frélaut'a, prace o wyraźnym tonie uczuciowym.

TEATR

CYGANERIA WARSZAWSKA

W TEATRZE Narodowym pod reżyserią Solskiego wystawiono sztukę 4-aktową Adolfa Nowaczyńskiego „Cyganerię Warszawską". Występuje na scenie koło 20 osób, ubranych dość ekscentrycznie według mody z pierwszej połowy 19-go wieku. Miejsce: Warszawa, bądź okolice Pułtuska. Szkoła Mazowiecka literatów i artystów warszawskich.

Sztuka historyczna? Niebardzo. I może nie potrzeba. Artysta jest wiecznym cyganem, również jak żyd jest wiecznym tułaczem. Lokalizacja w przestrzeni i czasie może być dowolna; Nowaczyński wszakże lokalizował cyganerię w latach 40-ych Warszawy, jak to wynika nie tylko z samej nazwy sztuki, bowiem „Cyganerią Warszawską" historia literatury zwykła nazywać pewien krótki okres późnego romantyzmu warszawskiego.

Nowaczyński dobrze postąpił, że nie dawał portretów, uniknął przez to procesu krytyki historycznej. Jest ten obraz jego czysto imaginacyjnym obrazem, skomponowanym na motywach znanych mu bądź z legendy warszawskiej, bądź z tradycyj bohemy paryskiej, bądź z przeżyć krakowskiej przybyszewszczyzny.

Trudno się dziwić. Wówczas, przed paru dziesiątkami lat, gdy pisał tę sztukę, o cyganerii warszawskiej z historjografii niewiele można się było dowiedzieć. I dzisiaj wiemy o niej nie wiele więcej, wszelako pogląd Nowaczyńskiego na tę epokę już nam nie wystarcza. Nie wystarcza nam wogóle odtwarzanie jakiejkolwiek epoki z cech czysto zewnętrznych.

Oczywiście wolno komedjopisarzowi, gdy chce stworzyć sztukę wesołą, obrać jakiś wycinek wesoły z przeszłości, ale byłoby niedobrze gdybyśmy z groteski Nowaczyńskiego wnioskowali o ówczesnem życiu umysłowem w Warszawie. A nawet w obozie cygańskim zasługiwały na mocniejsze podkreślenie rysy głębsze.

Minął był już wtedy paroksyzm ślamazarnej uczuciowości pierwszego romantyzmu, minął też okres mierzenia sił na zamiary r. 1830 i nastał czas refleksji; opanowała umysły filozofia spekulatywna. Ludzie byli pijani szałem nie tyle uczuć, ile wyobrażeń. Wszyscy byli pijani entuzjazmem na cześć ideałów ludzkości. Było o czem gadać. Gadano w salonach, gadano w knajpach. Tu byli dandysi, tam cyganie, wszędzie jednak była egzaltacja idealistyczna. I to był rys epoki zasadniczy, bardzo piękny i konieczny na drodze rozwoju umysłowego. Bo jeśli ma być rozwój, to trzeba przeżyć w pewnej kolejności wszystkie dziedziny ducha. Nie byłoby późniejszego r o z s ą d k u pozytywistycznego, gdyby go się przeotem nie szukało w podniebnym zasięgu ducha.

„Cyganie" byli entuzjastami, a słynne z osobistych zalet entuzjastki ówczesne były właściwie cygankami. Upijanie się alkoholem, które w sztuce Nowaczyńskiego główne zajęło miejsce, było rzeczą wtórną. Kto nie lubił salonów (a były to czasy demokratyzmu) szedł do knajpy, bo tam przy wódce doskonale się gadało. Ale o czem gadało? Nie o byle czem.

Z kronik doszły do nas pocieszne anegdoty o obyczajach cyganów, bo ze względów politycznych tylko to mogło być notowane. Pijaństwo, bałagulstwo owszem przez władze rosyjskie były tolerowane i protegowane. To w kronikach zostało, a resztę okres pozytywizmu zagubił w pamięci i wyklął. Dla tego tamten piękny okres ma tak karykaturalną legendę.

Cygańska knajpa była przybytkiem literackim w s z y s t k i c h okresów w czasach niewoli. „Zalewano robaka". Pracownicy ducha najżywiej odczuwali brak wolności, chorowali, często nie wiedząc, o co im chodzi, udrękę spalali w alkoholu. Ale — powiadam — tak samo pili pod koniec wieku u Lijewskiego, jak na początku wieku — u ciotki Salome (w wersji Nowaczyńskiego).

Zbyt duży więc nacisk na łobuzerkę, za mały — na życie wewnętrzne. Ono się wybitnie przejawiało w dyskursach pijackich, może zbyt groteskowo dla naszego ucha, ale w każdym razie charakteryzowała je tematyka nie tak pospolita. To nie były urwisy ciągle figlujące, to byli ludzie z dramatem w duszy.

Nie wiem dlaczego Nowaczyński wprowadził do tego życia pierwiastek zażydzenia, który wówczas nie odgrywał w literaturze roli. W sztuce wszystko musi uchodzić jeśli nie za symboliczne, to za nieodzowne dla obrazu, a ta celowość Salomy i Miriamki nie tłumaczy się wyraźnie, zwłaszcza przy tak wybitnie — powiedziałbym — ambiwalentnem traktowaniu tych postaci. Ciężkie wrażenie w grotesce robi obraz tańca poetów polskich koło żydówki z wyżebraną przez nich wazą ponczu w rękach. Urok zaś poezji na jej cześć deklamowanej, był tak wielki, że Salome łzy roniła.

Albo brutalna scena dziewki, żydówki, idącej z kijem na hrabinę Laurę, świetną szopenistkę. Toż to chyba symbol— ale jakże ciężki, jakże miły demokracji dzisiejszej! Ambiwalentność Nowaczyńskiego tłumaczy się na polskie jako obosieczność. To samo tyczy stosunku tej żydówki do młodego szlachcica, a przedewszystkiem — dlaczego ona miała być miłością Kamila artysty, przedstawionego tak sympatycznie?

Wszystkie te pytania, nasuwające się widzowi, są dowodem owej obosieczności, która nie pozwala należycie ocenić ironji autora.

Nad całością kompozycji góruje zamiar autora scharakteryzowania epoki, w nawale zaś materiału etnograficznego gubi się linia architektoniczna komedii. Z ostatniej dopiero sceny dowiadujemy się, że komediowemi Numą i Pompiljuszem są Gorgoriusz i jakaś jego kochanka; przez cały czas głównemi postaciami zdawali się być Kamil — Laura — Miriamka, tamten zaś stosunek jest bez żadnej treści dramatycznej.

Nie potrzeba dodawać, że rzecz z pod pióra Nowaczyńskiego musi być interesująca. Zwłaszcza gdy zespół artystów i reżyseria stoją na wysokości ciężkiego zadania, jakiem jest wydobycie humoru z ponurego obrazu barbarzyństwa. Tak bowiem ten obraz wypadł. Dla należytego zobrazowania owej epoki wypadałoby do tej sztuki dorobić dwie inne: jedną z tematem salonu warszawskiego, drugą — z tematem entuzjastów przy robocie społeczno-politycznej konspiracyjnej. Gdybyż Nowaczyński zrobił taki tryptyk!

Z. W.

FILM

PAN: „Wierna rzeka" reż. Leonard Buczkowski.

Jest to film skromny, lecz bezprrtensjonalny, prosty, dość taktowny i nie drażniący. Przypomina niecoi prymityw, prymityw nagół sympatyczny—dużo dobrej woli i trochę nieporadności. Aktorzy, zwłaszcza ci nierutynowani z poza teatru, bardzo się starali. Cybulski, w roli Odrowąża, był spokojny i dyskretny, panna Orwidówna miała profil z 1830 r., duże ambicje i kilka momentów zupełnie szczęśliwych.

Całość możnaby podzielić na dwie części: w pierwszej przeważają sceny zbiorowe (ma ona sporo ruchu), druga składała się przeważnie z lirycznych dialogów i scenek sam-na-sam młodego księcia ze swą wybawczynią. Oczywiście te dialogi poetyckie wymagały nieskazitelnego cyzelowania słowa. Młoda para nie zawsze potrafiła się ustrzec od zbytniej emfazy.

Znakomitym kucharzem („u mojej mamy niebogi") był Orwid.

Okrasą filmu są liczne plenery.

KANDYD

POKŁOSIE

WALKA O RUDĄ KOSĘ

HELENA trojańska przypomina się nam znowu, a wyznawcy tajemnej władzy cyfr mają materiał do nowych spekulacji na temat ósemki: wszak to ósmy król imieniem Henryk sprowadził swymi matrymonialnymi aferami największy w historii Anglii kryzys a obecnie znów ósmy Edward wywołuje ciężkie komplikacje na tym samym tle.

Gdy piszemy te słowa nie wiadomo jeszcze jak się zatarg angielski rozwiąże. Formalnie wyglądał początkowo bardzo groźnie, donoszono o tem że król zdecydowany jest przeforsować swą wolę wbrew wszystkiemu, a gdyby natrafił na stanowczy opór duchowieństwa, to gotów jest skorzystać ze swych prerogatyw głowy kościoła angielskiego, usunąć najwyższego jego dostojnika arcybiskupa Canterbury i mianować na to stanowisko osobę sobie powolną, a więc postąpi całkowicie w stylu Henryka VIII. Późniejsze jednak wiadomości brzmiały nieco łagodniej.

Bez względu jednak na to, jaki obrót przybierze sprawa, czy doprowadzi do ostrego konfliktu, czy też zakończy się kompromisem, który jest, jak wiadomo, specjalnością angielską, zatarg ten uwydatnia niewątpliwie tragiczność naszych czasów. Przygotowującej się, a miejscami będącej w toku rewolucji światowej przybywa jeden jeszcze impuls, wprowadzający ferment na najpewniejszym i uważanym za najstalszy odcinku.

Anglicy uważają i prawdopodobnie słusznie, że są ze wszystkich narodów najsłabiej zagrożeni przez nadciągającą na świat burzę rewolucyjną, a powodów tego pomyślnego stanu nie dopatrują się w specjalnie dobrych warunkach życia w ich kraju, bo to jest oczywiście rzecz względna, lecz w zasadniczym usposobieniu ludności, najszerszych mas ludu. Masy te, w przeciwieństwie np. do mas francuskich, od pokoleń wychowywanych inaczej, są usposobione monarchicznie, a raczej hierarchicznie, bo Anglia jest oddawna monarchią raczej symboliczną. Usposobienie to sprawia, że masy nietylko godzą się na to, iż rządy pozostają w ręku pewnej klasy, dawnej arystokranji, a od czasów wojen napoleońskich przeważnie plutokracji,— ale uważają taki stan rzeczy za zupełnie naturalny i nie dążą do jego zmiany, nie mówiąc już o zmianie gwałtownej. Usposobienie to panuje nietylko w mieszczaństwie większym i drobnym, lecz obejmuje również masy proletariatu.

Jaka jest zasadnicza przyczyna takiego nastroju? Czy bardzo na ogół pomyślne wyniki rządów arystokratycznych, dobrobyt większy niż gdziekolwiek indziej? Możliwe, chociaż nie bardzo pewne, gdyż te rzeczy nie stanowią zwykle hamulca do pożądania czegoś lepszego. Czy może charakter narodowy w tym się właśnie przejawia? Tak twierdzą niektórzy i jest w tym napewno część prawdy, bo nigdzie nie jest napisane, że wszystkie narody mają jednakowo reagować na te same hasła. Z rewolucyjnych „wolności, braterstwa i równości" dla Francuza „równość" jest może najważniejsza, Niemiec zaś nawet podczas wiosny ludów pominął ją zupełnie i wystawił na jej miejsce właśnie dobrobyt — „Wohlstand". Możliwie jest, że podobnie ma się rzecz w Anglii.

Ale są i inne zdania, utrzymujące, że nie ma zasadniczych różnic w usposobieniu mas angielskich w porównaniu z innymi, a panujące tam dziś nastroje są wynikiem tylko tego, że masy te są tam dotychczas znacznie słabiej, niż gdzieindziej politycznie rozkołysane, co spowodowane jest między innymi i tym, że czteroprzymiotnikowe głosowanie obowiązuje tam dopiero od niedawna, wystarczy jednak kilka lub kilkanaście lat, a nastroje angielskie upodobnią się całkowicie do kontynentalnych.

Tak, czy owak, ten hierarchiczny nastrój mas jest niezmiernie cennym elementem ładu społecznego i jego pielęgnowanie jest oczywistym obowiązkiem każdego męża stanu, a tym bardziej króla. Z dotychczasowych wiadomości wynika, że zdają sobie z tego sprawę dobrze nawet przywódcy laburzystów i popierają stanowisko rządu, który stanowczo sprzeciwia się małżeństwu króla ze zwolenniczką ułatwionego i tanecznego żywota.

Czasy powojenne wykazały, że imperium brytyjskie odbyło znaczną ewolucję. Anglia, kraj macierzysty, nie stanowi już ośrodka, decydującego o polityce całości, dominia dążą i osiągnęły wielką samodzielność, mają nawet przyznane samodzielne decyzje w takich żywotnych sprawach, jak wojna i pokój. Imperium staje się luźnym związkiem państw i jednym z pozostających jeszcze w sile łączników jest właśnie korona. Trzeba więc przecież ją utrzymać na odpowiednim stanowisku, wysokim poziomie moralnym. Stąd pochodzi jednomyślność z jaką stanęły za Baldwinem rządy dominiów, nie wyłączając socjalistycznej Australii.

Ale oczywiście w tym początkowo zwartym froncie antisimpsonowskim ukazały się niebawem rysy. Niektórzy politycy i tzw. radykalna inteligencja biorą „stronę króla". Politycy dostrzegli widocznie sposobność dojścia do władzy, a do tego celu każdy sposób jest dobry, pouczają nas o tym pamiętniki wojenne, z których wynika, że nawet największe niebezpieczeństwo kraju nie osłabiło w Anglii zaciętej i bezwzględnej walki osobistej. Co zaś do radykalnej inteligencji, to wiemy dobrze pod jakimi wpływami znajduje się ona we wszystkich krajach, przez kogo kierowana jest wszędzie rozkładowa robota. A cóż to za sukces zachwiać hierarchiczne usposobienie jednego z przodujących i decydujących w świecie narodów.

Nie wiadomo, jak się sprawa skończy, trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że samo jej ukazanie się już sprowadziło wielkie szkody. Dawno już stwierdzono, że korona jest ciężkiem nakryciem głowy, a porażki przychodzą nie tylko od wrogów, ale i z własnej winy.

ARGUS

NA MARGINESIE

Tarcia między dwoma odłamami sanatorów są tak silne, że aż iskry się sypią. Oto jedna z nich w prorządowem piśmie. Tytuł: „Loża dla walki z min. Beckiem". A potem: „Działa bez wymienienia nazwiska min. Becka. Wiadomo, że wszelka akcja w Polsce musi być przedewszystkim dyskretna i dyskredytująca. Milczeć o MSZ, ale dyskredytować linię polityki zagranicznej, nadaną przez Wielkiego Marszałka. Idąc w tym kierunku napotkamy: zadziwiający wzrost prasy czechofilskiej i frankofilskiej".. („Myśl Polska" str. 21).

Czyżby polityka p. Becka była wręcz odwrotna?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM